BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:	Z przesyłką pocztową:
Rocznie . (52 tomy) rs. 10	Rocznie. . . (52 tomy) rs 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5	Półrocznie . (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50	Kwartalnie . (12 tomów) „ 3
Za odnoszenie do domu 15 kop. kw.	

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPŁATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy)	rs 6	kop.	–
Półrocznie . (za 26 tomów)	„ 3	„	–
Kwartalnie. (za 13 tomów)	„ 1	„	50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.

Redakcya i Administracya: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1670
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

№ 293.

MILIONY!

Przekłady z pisarzy żydowskich

przez

J. Chr.

WARSZAWA
Redakcya i Administracya
47. Nowy-Świat 47.

1903.

NOWELE ŻYDOWSKIE.

SZULEM-ALECHEM.

MILIONY!

POWIEŚĆ GIEŁDOWA

W LIŚCIKACH.

Opracował **JERZY OHR.**

WARSZAWA
DRUKARNIA
A. T. JEZIERSKIEGO
47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 31 Іюля 1903 года.

WSTĘP.

Przed kilkunastu laty ś. p. Klemens Junosza Szaniawski wydrukował powieść Abramowicza, p. t. „Don Kiszot żydowski”, przełożoną z żargonu, poprzedziwszy ją dość obszernym wstępem. Dając obecnie nieco większą pracę z żydowskiego życia i również z żargonu zaczerpniętą, chcemy przypomnieć niektóre zdania, wygłoszone wówczas przez znakomitego pisarza polskiego w tym wstępie. Stwierdziwszy, że „społeczeństwo nasze nie zna Żyda”, Junosza dodaje:

„Religia, język, przesądy oddzieliły od siebie dwie warstwy ludności w ten sposób, że z po za muru chińskiego Żyd doskonale widzi chrześcijanina, zna na wskroś jego życie domowe jego słabości i wady, a sam zupełnie jest przez swego sąsiada nieznany”. „Książki żydowskie drukowane są u nas, czytane przez ludzi, z którymi łączą nas ciągłe i nieustanne stosunki, a jednak my tych książek zupełnie nie znamy. Nasza sfera inteligentna więcej ma wyobrażenia o literaturze hiszpańskiej, a nawet i chińskiej, aniżeli o tem, co czytają Żydzi, obok nas mieszkający. Ztąd też i piśmiennictwo ich wolne jest od wszelkiej krytyki i nie liczy się zupełnie z opinią chrześcijańskiej ludności”.

A dalej zapewnia: „Czytelnik się przekona, że literatura żydowska wprowadza nas w świat nowy, zupełnie nam nieznany, pomimo tak blizkiego sąsiedztwa; że ona ukaże nam Żydów i życie ich domowe w całej prawdzie”...

W zakończeniu pisze jeszcze ś. p. Junosza: „Zamiast bujać w dziedzinie teoretycznych mrzonek i iluzyi, zamiast pomstować na Żydów, na ich spryt, przebiegłość, zdolność do wszelkiego szachrajstwa, i zamiast nad własną ubolewać niezaradnością, czy nie lepiej zbliżyć się do nich i poznać ich dobrze. Znajomość, dokładna znajomość „przeciwnika” (dajmy na to) jest już połową zwycięztwa”.

Słowa te nie wymagają nawet — uzupełnienia. Dodamy więc tylko, że kryjący się pod maską pseudonimu, autor nader oryginalnej „powieści w liścikach”, jest jednym z najdowcipniejszych pisarzy żargonowych. „Miliony”—to szereg liścików na przemian męża do żony i jej do niego. Listy Zyda zawierają prawdziwą „epopeję faktorstwa”, opis wszelakiego rodzaju pośrednictwa w cukrowniach, przy sprzedaży domów, lasów, majątków ziemskich i t. d. Faktor obraca wciąż „milionami”, nie mając grosza własnego i przerzucając się ustawicznie od jednej „spekulacyi” do drugiej, od „geszeftu” do „geszeftu”. Listy żony, zamieszkałej w małem miasteczku, „Mazepówce”, są pełne komicznej charakterystyki Zydówki ciemnej, kochającej męża, a jednocześnie wiecznie go przeklinającej.

Miasto „giełdowe” autor przezywa Jehupecem. Z licznych wszakże wskazówek, jako to: cukierni Semadeniego, milionera Brodzkiego, cukrownika żydowskiego, oraz z tego, że w mieście tem Zydom nie wolno mieszkać stale, widać wyraźnie, że mowa tu o Kijowie.

I.

Menachem-Mendel z Jehupeca do swej żony Szajny-Szajndli w Mazepówce.

Do mej połowicy drogiej, cnotliwej, mądrej, pani Szajny-Szajndli, oby żyła z w. d. [1]).

Po pierwsze uwiadamiam cię, że Bogu dzięki żyję zdrowo, oby Pan Bóg dopomógł, żebyśmy zawsze jedno o drugiem słyszeli tylko dobre nowiny i wieści pomyślne, zbawcze i pocieszające—amen.

Powtóre dowiedz się, że przestałem być „szpegelantem" [2]), plunąłem na „szpegelancyę", niech jej nie zna żaden Żyd! Wymęczyła mnie, jak febra; osiwiałem przez nią, zestarzałem się! Łatwo mówić, ale cośmy tu znosili! Z Jehupeca teraz ruina, na giełdzie przewrót, ciemno wszędzie, jak po wojnie; jeszcze gorzej, niż niedawno w Odesie. Nastała klęska, pożar, zaraza. „Świat" zaczął mocno bankrutować i ja także. Codziennie słychać o nowej upadłości. Bankructwo to teraz rzecz mody!

---

[1]) Z w. d.—„ze wszystkimi domownikami" za pomocą inicyałów; jest to przyjęta forma pisania listów żydowskich.

[2]) Spekulantem, handlującym akcyami.

Czego chcesz więcej: wielcy bankierzy, „niedźwiedzie”, robią „plajtę”. Początek zrobił ów bankier, za którego pomocą „papierki” nasze szły do Petersburga i Warszawy. Pewnego pięknego poranku wchodzę do kantoru, miałem tam parę „Rudzkich” i kilka „Putiłowskich”, akcye, za które *jemu* należała się *u mnie* mała różnica. Dopytuję się, gdzież on tam, ten „puryc”? To mnie mówią: pożegnał nas—już dawno jest w Ameryce! Krótko mówiąc, wszczął się gwałt, rzucono się do kasy żelaznej i znaleziono—flaszkę atramentu i starą, wytartą złotówkę, dziurawą w dodatku.

Inny, stary bankier z Kamieńca zostawił w kasie całą paczkę starych kalendarzy żargonowych od r. 633 [1]) do dzisiejszego dnia, a sam pojechał do Palestyny.

Trzeci znów bankier, bardzo wielki, nie zbankrutował, ale zniszczył się doszczętnie, tracąc kilka milionów przez jeden tydzień, opinii jednak nie stracił — jak ja również. Tylko Brodzcy ocaleli jakoś cudem. Pokazuje się, że chociaż my mamy rozum i pojęcie, oni mają pieniądze...

Na domiar wszystkiego „dobry rok” nadał [2]) jakąś plagę. Ten twój krewniak, jak mówi, kuzyn kuzyna, nazywa się Tojwie Mleczny, handluje mleczywem. On mi „wtrynił” kilka rubli, chcąc być wspólnikiem do gry na giełdzie; oddał cały majątek, który ulotnił się, jak „kochany szabas święty”, do Petersburga i Warszawy. Myślałem, że mnie szlak spotka przez tego Tojwię i jego mowę słodką. Dziwy, mówię ci, że jeszcze się trzymam na nogach i że jestem przy zdrowych zmysłach!

Kawał czasu to nawet chodziłem, jak obłąka-

---

[1]) 1873 podług ery chrześcijańskiej.
[2]) Zamiast „dyabli nadali”.

ny, powtarzając głośno: „Petersburg, Warszawa, akcye, Liliputy [1]), Putiłowskie, Rudzkie"... Alem się zastanowił: co ja tu, głupi, wskóram, jak się będę martwił? Jak *ty* mówisz: czy to napisano, że trzeba koniecznie mieć dwieście tysięcy? Czy to ludzie nie żyją, mając o wiele mniej?

Źle tylko, że się niema trojaka na wydatki! No! ale gdy się tak znów pomyśli: a co mój znajomy Chinkis? Czy to Chinkis nie pozostał bez koszuli i musiał jeszcze uciec? A czy naprzykład ten młodzieniaszek, Hepman, zrobił co? Żebym taki rok miał, jaki on „szpegulant"! Co ten młody tu wyrabiał z Petersburgiem i Warszawą! Czego chcesz więcej, gdy nie było co robić na giełdzie, to się wprawiał, robiąc „stalaże" [2]) u siebie samego; po naszemu to znaczy: kupował i sprzedawał, brał i oddawał sobie samemu. Z całej jego krętaniny około milionów zostały mu grube książki kontowe, zapisane mnóstwem cyfr, a na strychu u niego leży kilka worków, wypchanych długiemi depeszami z Petersburga i Warszawy—całe archiwum!...

Raz na zawsze przekonałem się, że jak niema szczęścia, to nic nie pomoże! Trochę mi się udało, żem się zawczasu spostrzegł i przerzucił na inny zawód, honorowy zawód. Jestem mianowicie teraz poprostu faktorem, właśnie tu w Jehupecu na giełdzie. To ty się zapewne zapytasz, zkąd ja do faktorstwa? To taka historya: mamy przecież Boga Wielkiego, Wszechmocnego, a ja sobie tak pomyślałem: wszakże w Jehupecu jest faktorów „bez uroku" tylu, ile gwiazd na niebie, a czy to ja jestem gorszy, niż oni? Mam, zdaje się, także ręce i nogi, i nos z oczami, jak wszyscy Żydzi; takich zaś, jak ja, do-

---

[1]) Lilpopy.
[2]) Obstalunki.

brze urodzonych, jest wielu, a jednak nie wstydzą się faktorować, spacerując z laską w ręce. A znów pomyślawszy, to co za wielka „tora?” [1]).

Jeżeli naprzykład Chajkel Daatsch, który jest półgłówkiem, potrafi jednak stręczyć przy pomocy Boskiej! Trzeba tylko umieć kłamać, a gdy się jest do tego kawałkiem aroganta, to już można być faktorem. A nawet, im większym się jest kłamcą i zuchwalszym arogantem, tem wtedy większym się jest faktorem. Wierzaj mi, tu w Jehupecu są maklerzy tacy, że u nas w Mazepówce mogliby być zaledwie belframi, albo furmanami. Prawie podpisać się nie umieją, a jednak widzisz przecież, jak to ty mówisz: „gdy Bóg chce, to i miotła wystrzeli”.

Trzeba tylko włożyć biały gors i kapelusz ładny, mówić nawpół po rosyjsku i pół po niemiecku, łazić, wąchać, chwytać słowo, pobiegnąć tu, poskoczyć tam — „proszę kurtażu!” „Kurtaż” to opłata za faktorstwo, jak się płaci naprzykład za zarzynanie bydła. Aj, jaki to słodki grosz, ten „kurtaż”! Bez zawrotu głowy, bez boleści! Otom dopiero wczoraj złapał pięćdziesiątkę [2]) „kurtażu“, żebym tak wiedział o złej wieczerzy razem z tobą, jak wiem za co! Zrobiłem, dziesięć tysięcy pudów cukru, zrobiłem łatwo, łatwiej jeszcze, niż się papieros wypala. Właściwie to inni „zrobili", ale ja wskoczyłem do środka; krótko mówiąc, z Boską pomocą złapałem pięćdziesiątkę! Jak Bóg dopomoże, a będzie mi się tak działo pół roku, to stanę znów na nogach i będę tym samym, co dawniej, z ładnym kapitałem i z imieniem, bo u nas w Jehupecu to pieniądz gra największą rolę; sam człowiek to bło-

---

[1]) Nauka.
[2]) 50 rubli.

to, o pochodzenie nie pytają, możesz sobie być kim bądź, ostatnim—byle pieniądze! Mówię to tak sobie... A ponieważ jestem zajęty i nie mam czasu, robię wszystko krótko.

Jak Bóg pozwoli, to w drugim liście wypiszę ci wszystko obszernie. Tymczasem niech Bóg da zdrowie i szczęście. Ukłony dla dzieci i każdego z osobna nader przyjazne

odemnie, twego męża *Menachem-Mendla.*

O najważniejszem zapomniałem: Pisz mi, proszę cię, co tam słychać u was, czy deszcze padają, a jak tam z burakami, i czy jest dużo chrabąszczów? Muszę o tem wiedzieć pilnie i jaknajprędzej!

T. S.

II.

Szajna-Szajndla z Mazepówki do swego męża Menachem-Mendla w Jehupecu.

Do szanownego męża mego drogiego, „bogacza" znanego, mędrca słynnego, r. u. [1]) Menachem-Mendla n. ż. [2]).

Popierwsze melduję ci, że jesteśmy wszyscy, Bogu dzięki, zupełnie zdrowi, daj Boże, abym to samo słyszała o tobie nadal, nie gorzej.

Powtóre piszę ci, słodkie me życie, śmierć nagła, cholera, ty rozbójniku, ty Tytusie [3]), ty zabój-

---

[1]) Rebe uczony.
[2]) Niech żyje.
[3]) Zburzyciel Jerozolimy.

co jakiś, wiesz, że żona twoja była śmiertelnie chora po „reperacyi”[1]), jaką mi zrobił piękny doktór, czego życzę twoim gospodyniom jehupecowym, że ledwo nogami powłóczyłam. A dzieci twoje, chodź koło nich, ząbki, gardziołka, brzuszki — dyfteryt ze szlakiem, z utrapieniem, na głowy moich wrogów.

Pytam cię, jak dobrego przyjaciela, niech ci szlak wejdzie w kości, jak się to milczy tyle czasu i nie przysyła liściku? Jedno z dwojga: zmarłeś — to pisz, jeżeli zaś żyjesz jeszcze, to tembardziej powinieneś pisać! Ale gadaj tu z półgłówkiem; jak mówi moja mama, żeby żyła i zdrową była: „prędzej pijany wytrzeźwieje, niż głupi zmądrzeje.” Wyobraź sobie, *ach* i *aj*, że Szajna-Szajndla Boruch-Hersza Lei-Dwosi[2]) musi mieć męża faktora! Ale wszystko się godzi: być faktorem, roznosicielem obwarzanków, oprawcą psów — byle być w Jehupecu, żeby się zapadł!

Teraz piszesz mi, że złapałeś pięćdziesiątkę przy tem obecnem pięknem zajęciu swojem, i spodziewasz się, że codzień będziesz łapał pięćdziesiątki; a jakże, tyś już gotów? Ty zwaryowany „lekisz”[3]), nie co wtorek są ostatki.

Myślisz, że się powtórzy odeski „Londyn”[4]), handel „papierkami” i różnem tałałajstwem w Jehupecu i całe twe szczęście, które jeszcze teraz pamiętam? Głupcze jakiś, pięćdziesiąt razy ci oczy wyjdą z głowy, zanim ujrzysz i dożyjesz drugiej pięćdziesiątki! I oprócz tego, to tak sobie nie wierzę w zarobki jehupecowe, co to się rozpoczynają od szczęścia, a kończą „na strychu”[5]). Powiedz

---

[1]) Operacyi.
[2]) Imiona rodziców.
[3]) Gapa.
[4]) Gra na giełdzie.
[5]) Niczem.

sam, Mendlu, abyś miał „osiemdziesiąt lat czarnych”, czy nie pisałam ci z góry, że taki będzie koniec, aby już był koniec wszystkich naszych wrogów!...

A co mi piszesz, że jesteś szczęśliwy, iż nie straciłęś zmysłów, to mówię ci, że z tego gadania to nie widzę, abyś był przy zdrowych zmysłach: coś gadasz nie do rzeczy, jak przez gorączkę, wypytujesz się o buraki i czy deszcze padają? A cobyś ty chciał, żeby latem *kochanem* śnieg sypał? A co to mężczyznę obchodzą buraki? A gdzie masz teraz buraki? U nas gotują barszcz rosołowy, albo szczawiowy, buraki są dopiero około „kuczek!” [1]) Teraz pytasz coś o chrabąszcze? Co za chrabąszcze cię opadły? Naści znowu chrabąszcze! Mało jest pluskiew, to trzeba jeszcze chrabąszczów!

No, pytam się ciebie samego, czy nie wyglądasz u mnie, jak waryat prawdziwy, co może wziąć kij i latać po ulicach? Jeszcze raz: mieszkasz w Jehupecu, robisz cukier, łapiesz pięćdziesiątki, a brak ci tylko buraków, deszczu i chrabąszczów! Czy ty to pojmujesz? Ale mama, żeby żyła zdrowo, mówi bardzo słusznie: „waryat tłucze *obce* szyby, *nie swoje...*” Przeto słuchaj mnie, Mendlu, rzuć ten świat głupi, a jeżeli masz co jeszcze z tej pięćdziesiątki, to przyjedź do domu; jeżeli nie masz, to ci przyślę na podróż. Przypomnij sobie, że masz żonę „do 120 lat” i dzieci drobne, co oczekują na ciebie codzień, a niech już świat się nie lituje nademną, niech mnie ze wstydu twarz się nie pali, abyś ty się palił i gorzał, kochanie serdeczne, jak ci życzy dużo dobrego i wiecznego szczęścia, twoja prawdziwie wierna żona

Szajna-Szajndla.

---

[1]) Początek października.

P. S. Aha, a dlaczego nie pytasz, co w domu słychać? Widać, mało cię obchodzi to, że mama moja zerwała partyę siostrzyczki? Myślisz, że szło o pieniądze? Pieniądze swoją drogą, ale doszło do tego w ten sposób: Ojciec narzeczonego [1]) bawił tu przez sobotę. Mama się z nim posprzeczała, dała mu do zrozumienia, że on pochodzi od rzeźników; dowcipkowała, że „od wołu nie można żądać nic innego, oprócz wołowiny", i dokuczała. To on pojechał do domu, ale go plaga nawiedziła i odesłał akt zaręczynowy, a teraz niestety, Chuma Brajndla jest poraz trzeci już „nie narzeczona i znowu dziewucha."

III.

Menachem-Mendel z Jehupeca do swej żony Szajny-Szajndli w Mazepówce.

Do mej połowicy drogiej, cnotliwej, mądrej, pani Szajny-Szajndli, aby żyła z. w. d.

Popierwsze uwiadamiam cię, że Bogu dzięki żyję zdrowo, aby Pan Bóg dopomógł, żebyśmy zawsze jedno o drugiem słyszeli tylko dobre nowiny i wieści pomyślne, zbawcze i pocieszające — amen. *Powtóre* wiedz, że nie dobrze strawiłaś, co ci pisałem. Nie martw się nic o to, że jestem „szpegelantem", faktorem.

---

[1]) „Mechyten."

I to wyjdzie na dobre. Nie jestem jedyny w Jehupecu. Jest u nas „bez uroku” dużo faktorów, faktorów od cukru, faktorów od akcyj, faktorów od chleba, pieniędzy, domów, majątków ziemskich, lasów, maszyn, berlinek, kloców, fabryk, zakładów przemysłowych, kolei żelaznych; o czem tylko usta mówią, czego serce zapragnie — od tego są faktorzy... Tu nie robi się żadnego interesu bez faktora.

Każdy zaś faktor łączy się z drugim faktorem, bo ten faktor ma nabywcę, a tamten sprzedawcę, co razem stanowi parę. Zdarza się też często, że każdego faktora uczepi się jeszcze dwóch—trzech faktorów, a wszyscy dzielą się równo „kurtażem.” A gdy nie mogą się pogodzić, to zdają się na sąd polubowny, albo, zwyczajem odeskim, pobiją się nie na żarty...—Czy ty więc pojmujesz już cały interes faktorski?

Lecz największymi faktorami są faktorzy od cukru, bo cały cukier leży w ich rękach. Oni robią majątki, mają własne powozy, wyjeżdżają latem na wieś, grają w karty i posiadają „utrzymanki i szansonetki...”, słowem, przekonałem się, że faktorstwo to najlepszy interes, bo co faktor ryzykuje? Albo—albo: trafię, to i tamten zarobi; nie, to obydwaj kark skręcimy! Prawda, masz racyę, nie codzień chwyta się pięćdziesiątki. Od pierwszego interesu nic jeszcze nie zarobiłem. A pięćdziesiątka ulotniła się w mgnieniu oka, bo miałem tyle długów, co włosów na głowie. Parę rubli innym rozpożyczyłem, siedzę więc znowu bez grosza. A cóż? Mam nadzieję, że jak Bóg zechce, to przy pomocy Najwyższego zrobię wkrótce interes, a wtedy poślę ci kilka rubli przekazem lub pocztą.

Co zaś do deszczów, o które pytam, to bardzo prosty pomysł: ponieważ cukier, uważasz, robi

się z buraków, a buraki wymagają deszczu, bo bez niego nie rosną, przeto pytam cię, czy u was padają często deszcze? Lecz aby Bóg dał, żeby deszcz nie padał wcale, a chrabąszcze niechaj zjedzą buraki do szczętu. Gdy nie będzie buraków, to i cukru nie będzie, a gdy nie będzie cukru, to cukier pójdzie na wagę złota, a „szpegelanci" porobią majątki i faktorzy zarobią dużo i ja także. A ponieważ jestem zajęty i nie mam czasu, załatwiam się krótko. Tymczasem niech Bóg da zdrowie i szczęście, pozdrów dzieci i każdego zosobna nader przyjaźnie

odemnie, twego męża

Menachem-Mendla.

O najważniejszem zapomniałem: Co piszesz o swej siostrzyczce, to jeśli nie zaręczyła się jeszcze (a pewnie nie jest jeszcze narzeczoną!) mam dla niej narzeczonego, „antyczka" [1]). Mieszka tutaj i jest właśnie kawalerem, chociaż nie młodym, w sile wieku, ze szpakowatą bródką. Nie jest bogaty, ale fach posiada, jest mianowicie faktorem, „kręci się" koło cukru. Zbyt mądry nie jest, ale bardzo uczciwy. Nazywa się Lajb, a „farmilia" jego jest Traski. Według tego, że znam twą Nechumę Brajndlę (już nie pierwszej młodości!) i według tego, że ona, między nami powiedziawszy, jest „kozakiem", to ta partya dla niej w sam raz, bo kawaler jest bardzo cichym kawalerem, pokornym niestety, jak jagniątko. Jeżeli ci się podoba, to depeszuj, lub napisz mi liścik, a postaram się ich zapoznać z sobą.

T. S.

---

[1]) Przedmiot kosztowny.

IV.

Szajna-Szajndla z Mazepówki do swego męża Menachem-Mendla w Jehupecu.

Do szanownego męża mego drogiego, „bogacza” znanego, mędrca słynnego, r. u. Menachem-Mendla n. ż.

Popierwsze melduję ci, że jesteśmy wszyscy, Bogu dzięki, zupełnie zdrowi, daj Boże, abym to samo słyszała o tobie nadal, nie gorzej. *Powtóre* piszę ci, co mi się śniło tamtej nocy i tej nocy i rok cały, niech padnie na głowy moich wrogów i na twoje ręce i nogi! „Uciecha dla babuni” — gdy deszcz nie będzie padał, nie będzie buraków, a gdy nie będzie buraków, to cukru nie będzie, a gdy nie będzie cukru, to wtedy zarobi pieniądze! Zupełnie taka historya, jak z cyganem i niedźwiedziem: Jak cygan złapie niedźwiedzia w lesie, obedrze go ze skóry i sprzeda ją na jarmarku, to za te pieniądze kupi sobie konia, którego zamieni na krowę, a gdy krowa się ocieli i da mleka, to będzie miał ser i masło!

A co będzie, Mendlu, gdy ci opowiem, że u nas codziennie leją deszcze, aby ci zalało kości, a buraki rosną, jak dyabły, a chrabąszczów niema, tylko same pluskwy i karaluchy, to ci lżej będzie? Oby mi tak Bóg dopomógł, jak wiedziałam z góry, że z pięćdziesiątki nie zostanie ci się grosz jeden. Wiedziałam z góry, że raczej roztrwonisz te kilka rubli na pożyczki, niż pomyślisz, że masz żonę „do 120 lat.” Pożyczki? Dałabym im choroby i utra-

---

[1]) Przedmiot kosztowny.

pienia swoje, bo gdy ty będziesz potrzebował ich łaski, pożyczki, to zobaczysz, że „nikogo nie zastaniesz w domu." Jak mówi mama: „Biorący to nie dający, a dobrym bratem jest się tylko do kieszeni..."

Ale któż temu winien, jeżeli nie ja sama? Bagatela, pozwalać tyle mężowi! Czy to on wie, co robić z wielkiej „rozkoszy"? Kręci się po Jehupecu, jak hrabia, brak mu tylko deszczów i chrabąszczów. A ja tu leżę, jak pies, zakopana, mam nieszczęście na każdym kroku! Dziecko idzie, Mojsze Herszek, niech się spali, to pada i rozbija sobie wargę; mam pierścionek ładny, to kradnie mi go służąca — idzie „bez uroku" ze wszech stron. Jak mówi mama: „nadchodzi szczęście, to wylej pomyje..." No, nie miałam to racyi, gdy ci mówiłam, że nie co wtorek są ostatki, a pięćdziesiątki nie tarzają się w piasku?

Posłuchaj mnie, Mendlu, pluń na ten zawód piękny i przyjedź do domu. A co do pięknej partyi, jaką proponujesz dla Nechumy-Brajndli, to niech on tam siedzi „w ciężkich ranach," ten stary kawaler twój z siwą brodą. Jehupec nie dożyje tego, żebyśmy tam szukali partyi! Wiesz, kogo jej swatają? Właśnie pierwszego jej byłego narzeczonego. Rozwiódł się z pierwszą żoną, a teraz doradzają mu znowu ożenić się z moją siostrzyczką. Spodobała się widać bardzo temu szarlatanowi? Ale jak mówi mama, niech żyje: „lepiej ze swojskim złodziejem, niż z obcym rabinem..." A gdy się tylko zgodzą, to weźmie się zaraz baldachim i wyprawi wesele. A niech ja zobaczę, czy nie przyjedziesz na ślub Nechumy-Brajndli; możesz być pewny, że śmierć będzie dla ciebie za małą karą. Jak ci życzy wiele dobrego i wiecznego szczęścia, twoja prawdziwie wierna żona

Szajna-Szajndla.

P. S. Nasz Kopel powtórzył sobie naukę; znowu zbankrutował, może 10,000 rub., przez co znowu mu dowierzają w miasteczku. A Berek, syn wuja Menaszy, miał znowu *nieszczęście:* spalił się może na jaką setkę, a odbierze półtrzecia tysiąca rubli. Ale zdaje mi się, że to już ostatni pożar w mieście, bo prawdopodobnie towarzystwo „Jakor" przestanie ubezpieczać żydowskie domy i sklepiki w Mazepówce. A Maryem-Bajla rozmyśliła się: na co jej peruka, woli raczej nosić „formalnie" własne włosy, zapatruje się na synową naszego bogacza, niech ich plaga, grają z młodzieńcami w karty. Ale nie lubię obmawiać obcych, jak mówi mama: „pamiętaj o sobie, to zapomnisz o innych." I napisz mi, dla Boga, co to się nazywa „uczymanki" i „szeneszetki" [1]), co to jest i do czego się używa?

T. S.

V.

Menachem-Mendel z Jehupeca do swej żony Szajny-Szajndli w Mazepówce.

Do mej połowicy drogiej, cnotliwej, mądrej, pani Szajny Szajndli, aby żyła z. w. d.

Popierwsze uwiadamiam cię, że Bogu dzięki żyję zdrowo, aby Pan Bóg dopomógł, żebyśmy zawsze jedno o drugiem słyszeli tylko dobre nowiny i wieści pomyślne, zbawcze i pocieszające — amen. *Powtóre* wiedz, że interes cukrowy nie jest właściwie

---

[1]) Utrzymanki i szansonistki.

dla mnie żadnym interesem: Jedno, nie można wytrzymać z wielkimi faktorami cukrowymi; zanim się człowiek poruszy, podlatuje największy ze wszystkich faktorów cukrowych, *reb* Burech Nabożniś i porywa z pod ręki, mimo, że jest wielkim bogaczem, choćbyś go zaskarżył do sądu Niebieskiego. To ty zapytasz: Jak to? Gdzie sprawiedliwość? To wiedz, że w Jehupecu nie zadaje się takich pytań. Sprawiedliwość nie ma tutaj wartości. Nie robi się nic „dla” kogoś, ani przez „litość.” To wyszło z mody.

Po drugie, pytam cię, co to za interes ten „geszeft” cukrowy, kiedy dzień i noc patrzeć musisz w niebo i prosić Boga, ażeby jednego dnia deszcz padał, a drugiego — nie. Bo gdy przychodzisz do spekulanta, naprzykład do Złotopolera, i proponujesz mu kupno 10,000 pudów cukru, to palcem wskazuje mi niebo:

— Widzicie, jak się chmurzy? deszcz będzie...

— Ny, co jest — mówię — chmurzyć, to się chmurzy już trzeci dzień, a deszcz—mówię—jednak nie pada!

— Ny—mówi on—możećież mi ręczyć nadal, że deszcz nie będzie padał?

— Ny, jak to? — mówię — ręczyć. Czy to ja Bogiem?

— A więc — mówi — po co gadacie? Mówcie więc, że wiecie tyle, co ja!

No, co mu tu dać za odpowiedź? Ale pomyślałem, jeżeli to tak jest, trzeba grać odwrotnie i szukać sprzedawcy, to jest: takiego spekulanta, co się nie lęka chmury i utrzymuje, że deszcz będzie padał niewątpliwie, a cukier napewno stanieje strasznie.

Podchodzę więc do *reb* Arona Mirskiego i mówię mu;

— *Reb* Aron, możebyście sprzedali z 10,000 pudeczków cukru na przyszłoroczny kwiecień — maj, bo to chmurzy się—mówię—lada dzień deszcz będzie?

— Co — mówi do mnie — zwaryowaliście, czy jesteście nie spełna rozumu? Chcecie we mnie wmówić, że wiecie lepiej od kalendarza? Naści — mówi—zobaczcie, co kalendarz pisze na miesiąc bieżący: „od 9 do 22 wielkie upały”, a na drugi miesiąc pisze: „od 12 do 18 miejscami deszcze.” Czy rozumiecie przynajmniej — mówi do mnie — znaczenie wyrazu *miejscami?* „Miejscami” w języku kalendarzowym nazywa się to, że gdy chcę, mówię: będzie padał, a gdy chcę, mówię: nie będzie padał. Jakżeż więc możecie myśleć o takiem waryactwie, żebym ja był sprzedawcą cukru?

— Kiedy tak—mówię—to kupcież z 10,000 pudeczków cukru.

— To ja się boję — mówi — a nuż będzie deszcz.

— Jeżeli się boicie deszczu — mówię — to dlaczegoż właśnie nie sprzedajecie 10,000 pudów cukru?

— To ja się boję — mówi — a nuż nie będzie padał!

— Więc czemuż—mówię—nie kupicie cukru?

— E — mówi do mnie — jesteście coś utrapionym Żydem! Wyście mi tak przewrócili w głowie, że już właśnie nie wiem, jak robić: kupić cukier, czy sprzedać? Idźcie sobie—mówi do mnie—w zdrowiu!...

Słowem, przekonałem się, że to nie dla mnie interes.

Trzeba być wielkim zuchwalcem, drwić sobie z kalendarza i uparcie dowodzić spekulantowi, że nie zna się na niczem, jak to czyni *reb* Burech, i tak długo gadać, aż mu się sprzykrzy słuchać

i pot obleje go zimny. Ale Bóg jeden wie prawdę, że tego nie umiem, lubię zarobić rubla honorowo. Z Boską pomocą mam teraz interes w ręku, to wiem, że interes. Oto „kręcę się” koło pieniędzy, robię pożyczki, dyskonta, to znaczy pożyczam i wypożyczam pieniądze na wekselki, to znaczy, dyskontuję weksle całego świata i tylko na procent gospodarski, jak to się mówi, mniej zarobić, byle spać spokojnie. To taki interes, że ludzie cię honorują wszędzie, bo gdy kto potrzebuje monety, to mięknie jak ciasto, tarza się po ziemi i obiecuje faktorowi złote góry...

Ot, przysłał mi Bóg składnika manufaktury z Berdyczowa; zapoznałem się z nim na stancyi, gdzie mieszkam. To wyjątkowy młodzieniec o złotym charakterze. Przyrzeka mi, że gdy mu wyrobię tu kredyt na 10—15,000 rubli, to mnie tak wynagrodzi, iż będę mógł przestać być faktorem... A chociaż dotychczas nie dostałem dla niego pieniędzy, ale w Bogu nadzieja, że gdy Imię Jego zechce, to z Boską pomocą zapewne dostanę... Wszyscy faktorzy, którzy kręcą się tu koło pieniędzy, są szczęśliwi, wyjeżdżają własnemi końmi. Koń własny i wózek, to, wiedz, doskonały sposób na bogactwo, bo tu, w Jehupecu, więcej szanują konia z wózkiem, niż człowieka...

Mówię to tak sobie, a ponieważ jestem zajęty i nie mam czasu, załatwiam się krótko. Jak Bóg zechce, to w drugim liście wypiszę ci wszystko szczegółowo. Tymczasem niech Bóg da zdrowie i szczęście. Pozdrawiaj dzieci i każdego z osobna nader przyjaźnie

odemnie, twego męża

Menachem-Mendla.

O najważniejszem zapomniałem. Co piszesz o bankructwie Kopla, to ono tu u mnie ładnie wyglą-

da w porównaniu z tutejszemi bankructwami! Kupiec, który jeszcze nie zbankrutował trzy razy, nie nazywa się wcale tutaj kupcem. Niegdyś była tu taka moda, że bankrut musiał uciec; dzisiaj ucieczka wyszła z mody. Zagarnia się te kilka rubli, buduje sobie domek, wydaje dzieci, bankrutuje się pocichu i jest się znowu delikatnym człowiekiem... Tu nie nazywa się to wcale „bankructwem." Tu się nazywa „nie płaci", to znaczy nie chce płacić i wołaj na mnie: „dziadku!"

A co się pytasz o znaczenie „utrzymanek i szansonetek", to nie mogę ci tego opisać na papierze; po hebrajsku to się nazywa „pilagszym", a po niemiecku to mówią „Kebsweiber" [1]), ale możesz mi zaufać „benemunes" [2]), że o tem nie myślę wcale.

VI.

Szajna-Szajndla z Mazepówki do swego męża Menachem-Mendla w Jehupecu.

Do szanownego męża mego, drogiego, „bogacza" znanego, mędrca słynnego, r. u. Menachem-Mendla n. ż.

Popierwsze melduję ci, że jesteśmy wszyscy, Bogu dzięki, zupełnie zdrowi, daj Boże, abym to samo słyszała o tobie nadal, nie gorzej. *Powtóre* piszę ci, że przez twoje słodkie liściki, to mi już, jak

---

[1]) Nałożnice.
[2]) Na wiarę.

żyję, serce spuchło, obyś ty spuchł, Panie świata, jak góra. Ot, dopiero co, zdaje się, byłeś cukrownikiem, nagle jesteś kredytorem — zkąd wziąłeś pieniądze?

A jeżeli Bóg ci już raz dopomógł i masz kilka rubli, to musisz je roztrwonić na poczekaniu? Przecież dopiero niedawno sam pisałeś, że jak ci się zdarzy trochę pieniędzy, to niezwłocznie wyślesz mi przekazem lub pocztą. Gdzie twoje słowa, ty przechrzto jakiś? Ale mama moja, oby żyła zdrowo, ma właśnie słuszność. Ona mi mówi: „Córko moja, ztamtąd nie spodziewaj się pieniędzy, bo z cmentarza nie wynoszą nikogo, a zwłaszcza—mówi—z pięknego, ludzkiego miasta Jehupecu, aby się spalił! Już dawno—mówi—powtarzam ci przysłowie: „Strzeż mnie Boże od bogaczów berdyczowskich, chasydów humańskich, subjektów konstantyńskich, heretyków mohylowskich, opiekunów kamienieckich, hultajów jehupeckich...”

Powiedz, może ona nie ma racyi? Ale co to jego obchodzi żona, co obchodzą dzieci? Dzień i noc mam to to, to owo! Mało mieliśmy kłopotu w zeszłym roku, aby się nie powtórzyło, z kopiejką, cośmy myśleli, że Mojsze-Herszek ją połknął—to znowu w tamtym tygodniu on (to dyabeł, nie dziecko!), niewiele myśląc, o mało nie przeniósł się na świat inny. Był zdrów i silny, nagle — widzę: dziecko moje już nie jest dzieckiem. Główkę na bok przechyla i krzyczy nieswoim głosem.

— Co ci jest, syneczku, złoto moje, powiedz, co cię boli?

A on rączką wskazuje na lewe ucho i krzyczy. Ściskam go, całuję, szczypię, obejmuje — on wciąż wrzeszczy. Dopiero na trzeci dzień sprowadzam doktora. A on, ten mędrzec, pyta, czy zajrzałam dziecku do ucha?

Mówię:

— Nietylko zajrzałam, ale nawet sondowałam drutem spiczastym i nic nie widać!

— Coście jedli w sobotę?—pyta.

— Co się je u Żydów w sobotę? — mówię — rzodkiew, cebulę, pieczeń, „kugiel” [1]). A czego chcecie jeszcze?

— A może gotowaliście fasolę, groch lub jakiś owoc?—mówi do mnie.

— A co to ma do tego?—mówię.— Jeżeli jedliśmy groch, to dziecko musi główkę przechylać i krzyczeć?

— Tu idzie właśnie o groch — mówi. — Jeżeli mieliście groch w domu, to dziecko zapewne bawiło się tym grochem surowym tak długo, aż żartem wpakowało sobie groszek w ucho, a groszek tam rośnie...

Słowem, przyniósł całą maszynę, męczył dziecko, niestety, pół godziny i wydostał z ucha parę grochów! Naści jeszcze, może ci mało!—Cały świat źre groch, że o mało nie pęknie, i nic, a u mnie dziać się muszą cuda, jak to mówi mama, niech żyje: „niezdara pada na trawę i tu sobie nos rozbija.” Przeto mężu mój drogi, na co ci pożyczki, mieć do czynienia z berdyczowskimi oszustami, bankrutami, zbierz lepiej te kilka rubli i przyjedź do domu, to i tu znajdziesz interes, jak to mówi mama: „za pieniądze wszystkiego dostaniesz, oprócz ojca — matki.” Obyś taką miał plagę, jak mama ma racyę, i bądź zdrów, jak ci życzy dużo dobrego i wiecznego szczęścia, twoja prawdziwie wierna żona

Szajna-Szajndla.

P. S. Wiesz, o co cię poproszę, Mendlu? Nie pisz mi o jehupeckich szarlatanach i ich nałożni-

[1]) Legumina

cach—nie chcę, abyś myślał o nich, nie chcę nawet słyszeć ich nazwy „trefnej”, aby się tam paliły na ogniu z tobą! Posłuchaj lepiej jaka u nas zaszła historya. Synalek Lewi-Mojszy Mendla, „Borys” go nazywają, po dziadku *reb* Beryszu, pięknym nieboszczyku; ten drogi „szajgec”, co mógłby być każdej chwili odkupieniem naszego Mojsze-Herszka — rozmyślił się tydzień temu, wszedł z dwoma pedlami do sklepu Liby Mojsze-Mordki i odezwał się do córki Liby, Feigli (przezwała się nagle „Fannyczką!”):

— Fannyczko, duszo moja, pokaż-no palec!

Fannyczka podała mu palec, na który on włożył obrączkę i przemówił do pedlów:

— Bądźcie, panowie, świadkami, żem ją zaślubił wedle prawa Mojżesza i Izraela!

Nastał alarm, gwałt, harmider. Liba zemdlała. Całe miasto się zbiegło na ich „zły podziw.” Ludzie się w to wdali, pobiegli do rabina. Rabin mówi: musi jej dać rozwód. Ale Fannyczka mówi (plaga na nią), że nie chce rozwodu. Była w nim dawno zadurzona, aby ich złe odurzyło, umówili się.—Cóż ty na to? Czy nie lepiej, żeby moje utrapienia padły na ich głowy?

T. S.

VII.

Menachem-Mendel z Jehupeca do swej żony Szajny-Szajndli w Mazepówce.

Do mej połowicy drogiej, cnotliwej, mądrej, pani Szajny-Szajndli, aby żyła z. w. d.

Popierwsze uwiadamiam cię, że Bogu dzięki żyję zdrowo, aby Pan Bóg dopomógł, żebyśmy zawsze jedno o drugiem słyszeli tylko dobre nowiny i wieści pomyślne, zbawcze i pocieszające — amen. *Powtóre* wiedz, że interes pieniężny to „geszeft” kapcański.

Pożyczka, to nawet nie zła rzecz, tylko co? Jak Bóg pomaga i robi się własnemi pieniędzmi, nie obcemi. Lata się i lata i wszystko na nic! Och i aj temu, co potrzebuje łaski tutejszych kredytorów: reb Judla Dobrodzieja, reb Jankla Chrzcinowca, reb Szlomy Ofiarnika, reb Mechla Łaskawcy, reb Wigdora Sprawiedliwca, reb Joela Biblijnika, reb Michula Postawnika i całego towarzystwa z Berdyczowa, Winnicy i Szpoły, procentników, rosnących bez deszczu, jak pokrzywa... A nawet ci wielcy już, niby bankierzy, naprzykład: reb Aron Karliner, reb Nachmen Breslauer, reb Arye Litościwiec, reb Szepsel Kabatnik, reb Burech Nabożniś — to zamiast do nich się udać, to już lepiej siedzieć w domu i wycinać „kompony” [1]).

Dobrze się dzieje tylko jednemu faktorowi w Jehupecu: reb Chaimowi Słobodzkiemu Ale któż mu może być równy, jeżeli on ma stosunki z całym światem, świadczy łaski, bierze wekselki i dzieli pieniądze? Wielki szczęśliwiec, ot ten reb Chaim Słobodzki. Jemu nie bankrutują, a jak się już zdarzy, że mu ktoś bankrutuje — to także nic złego.

Słowem, plunąłem na interes pieniężny i zabrałem się do domów? Dlaczego do domów? Bo tu, w Jehupecu, powstała nowa spekulacya domami. Ty myślisz zapewne, że w Jehupecu kupują izbę, jak u was w Mazepówce? To się mylisz. Tu,

---

[1]) Kupony.

w Jehupecu, gdy się kupuje izbę, to się ją wnet odnosi do banku i bierze na nią pieniądze. Potem się ją zastawia i znów bierze pieniądze; potem odnajmuje się mieszkania i bierze znów pieniądze. Słowem, kupuje się izbę bez „grosza pieniędzy” i jest się szczęśliwie gospodarzem.

To ty się zapytasz: jeżeli tak, to każdy mieć może izbę? To jest odpowiedź: zkąd wziąć na zadatek?... Zapewne, jak Bóg dopomoże, zrobię interes, około którego kręcę się teraz (mam obecnie „do zrobienia” parę domków), to kupię sobie wtedy własny domek (na twoje imię), za jakie 20,000 tysięcy rubli i nie włożę w to trzech groszy „połamanych.” Bo oto masz rachunek dokładny: 15,000 wyda mi bank, tak? 6,000 wezmę z drugiego zastawu, tak? to już mam część wydatków nawet. Teraz, gdzie jest komorne i „inne zioła”? Tylko zkąd, myślisz, wyrasta bogacz w Jehupecu?

Ot, weź naprzykład Lajbka Benderera. On już ma całą ulicę własną, a teraz stawia kamienicę, co chmur sięga. Piękne miasteczko ten Jehupec, jak żyję, dużo w niem pięknych rzeczy, ale jest kawałek feleru, że do tego potrzeba pieniędzy, a o pieniądze tu trudno. Do najlepszego przyjaciela przyjdź po pożyczkę, to się przysięga, że tylko co miał i oddał; a może nie chcesz wierzyć, to on się nie leni, otwiera woreczek i pokazuje, że sam nie ma... Byłem dopiero wczoraj u swego sąsiada, znajomego jeszcze z Odesy, jest doktorem od kobiecych rzeczy i nazywa się Gaduła. Ujrzawszy mnie, przywitał szeroko:

— Siadajcie, reb Menachem-Mendel, co porabiacie dobrego?

— Co mam robić?—mówię—żyję i kręcę się. W Bogu nadzieja—mówię—zapewne się kiedyś coś wykręci. Mam do was—mówię—prośbę o pożyczkę na czas krótki...

Doktór mój, jak tylko usłyszał wyraz „pożyczka,” uniósł się, jakbym chciał „kapotę z niego zedrzeć.” Wstał z ławeczki i zaczął biegać po pokoju, jak waryat i krzyczeć:

— Nie, nie, nie! Pożyczka? Nie, nie, nie! Mam zasadę, mam zasadę!...

Obym tak wiedział o złem, jak wiem, co to za choroba ta „zasada?” A ponieważ jestem zajęty i nie mam czasu, załatwiam się krótko. Jak Bóg zechce, w drugim liście wypiszę ci wszystko obszernie. Tymczasem niech Bóg da zdrowia i szczęście, pozdrów dzieci i każdego zosobna nader przyjaźnie

odemnie, twego męża

Monachem-Mendla.

O najważniejszem zapomniałem: Co piszesz mi o historyi z synalkiem Lewi Mojszy Mendla, co zaślubił córkę Liby, to mnie to nie dziwi wcale. Tu, w Jehupecu, jest we zwyczaju kochanie. Narzeczeni muszą się zawsze kochać, inaczej partya nie jest partyą. To się zapytasz: jeżeli tak, to na co swat potrzebny? To się o to nie martw, swat jest właśnie swatem, on chodzi od jednych rodziców do drugich, umawia się co do posagu, a potem urządza tak, że narzeczeni spotykają się niby przypadkowo gdzieś w „trejatrze” lub „szato” [1]) i tam się zakochują. Niekiedy tylko zdarza się, że partya się załatwia bez swata, gdy kawaler zakocha się w dziewczynie i oboje uciekają do Wasilkowa lub Chwastowa i pocichu ślub tam biorą. Ale to bagatela; tu się zdarza często, że mąż porzuca żonę, kochając się w żonie drugiego,

[1]) Château,

lub żona porzuca męża, kochając się w mężu drugiej, a żona tamtego męża kocha się w tamtej żony męża żonie, to jest w mężu tamtej żony — słowem, odbywa się wymiana, moje—twoje, a twoje — moje.

VIII.

Szajna-Szajndla z Mazepówki do swego męża Menachem-Mendla w Jehupecu.

Do szanownego męża mego drogiego, „bogacza" znanego, mędrca słynnego, r. u. Menachem-Mendla n. ż.

Popierwsze, melduję ci, że jesteśmy wszyscy, Bogu dzięki, zupełnie zdrowi, daj Boże, abym to samo słyszała o tobie nadal, nie gorzej.

Powtóre, piszę ci, że jeżeli mnie szlak nie trafi (aby ci szlak wszedł w kości), to będzie cud z nieba: czy to słyszane na świecie, żeby mąż młody porzucił żonę i dzieci, teścia i teściową i pojechał do obcego miasta i zajmował się coraz innym geszeftem: oto jest cukrownikiem, oto kredytorem, a oto znowu właścicielem własnej kamienicy w Jehupecu, bez „grosza pieniędzy." Godzi się właśnie, jak żyję! Zamiast mieć izbę, a na niej długów więcej, niż warta, to niech się raczej naprzód spali i zgorzeje wraz ze wszystkiemi domami w Jehupecu. Potrzebuję ciebie na „99 odkupień" razem z twą kamienicą! Jak to mówi mama, niech żyje: „dobrze być gospodarzem, ale gdy jest czem gospodarzyć..." Szczęście mnie spotka, gdy zrobi interes i zarobi pieniądze, to kupi domek na moje imię. Na co mi domki? Ty lepiej przyślij pieniądze, to

już znajdę, co kupić, jak to mówi mama, niech żyje: „Podaj mi no chleba, to już nóż sama znajdę...”

To nieszczęście, urok na mnie i tyle! Zdaje się, wiem, jestem także taką córką żydowską, jak Blima-Złata, plaga wielka na nią, a tak ładną, jak ona, i tak mądrą i „ciekawą,” jak ona, jestem napewno, dlaczegoż, gwałtu, dlaczego mnie się to należy, żebym ja miała taki los ciemny i srogi, a Blima-Złata z każdym dniem staje się „grubszą, niż długą,” aby zaschła i zwiędła, Boże kochany! Ale zastanawiając się, to co ja mam właściwie do Blimy-Złaty, jak żyję? Na mojej ziemi ona nie chodzi! Niech sobie będzie zdrowa i silna i żyje długo ze swym Chemiem, a mnie niech Bóg pomaga w moim stanie, jak to mówi mama: „Lepiej sobie życzyć, niż drugiego przeklinać.”

Tyle tylko, że mnie boli, gdy widzę, jak u ludzi żyją, jak jedzą, jak się ubierają, a ja muszę siedzieć, jak wdowa „żywa,” i wyczekiwać na swego pięknego chlebodawcę, może go spotka szczęście tam, w Jehupecu. „Ksiądz zgubi, a on znajdzie,” to mi wybuduje kamienicę w Jehupecu! On myśli, że nie rozumiem tej myśli, co on myśli: on myśli, że gdy mi przyrzecze kamienicę własną, to łap za tłumok i przyfrunę do niego na koczardze [1]). Niedoczekanie Jehupeca, nie prędko mnie zobaczy. Dla jego pięknych osobistości, co to zamieniają się z żonami, mam ja się narazić i pojechać do Jehupeca, zdjąć perukę i stać się u ciebie „kebsweib” [2]). Głowę skręć, Panie świata, na równej drodze i przyjedź lepiej do domu, jak ci życzy wiele do-

---

[1]) Pogrzebaczu.
[2]) Nałożnicą.

brego i wiecznego szczęścia, twoja prawdziwie wierna żona

Szajna-Szajndla.

P. S. „Nie trzeba być ładną, mówi mama, nie trzeba być mądrą, trzeba tylko mieć szczęście.” Weź naprzykład moją Brajnę-Bajlę i weź Ruchlę ciotki Dwojry. Ta jest ładna, jak słońce w lipcu, a tamta kwaśna, jak ocet, to Brajna-Bajla zostaje, niestety, dziewczyną, a Ruchla wychodzi za mąż i bierze narzeczonego jakiegoś niezdarę z Jampola i właśnie delikatnego, uczciwego, cichego, to jest głupkowatego, ale z pięknej rodziny. Ma, mówią, siostrę chrzczoną; jest feler, że nie zupełnie zdrów, ale zato nie obawia się wojskowości. Przyjemnie patrzeć na tę parkę! Ona myśli, że niema nic mądrzejszego, a on, że nic piękniejszego, jak to mówi mama: „Nie to miłe, co ładne, ale to ładne, co miłe.”

IX.

Menachem-Mendel z Jehupeca do swej żony Szajny-Szajndli w Mazepówce.

Do mej połowicy drogiej, cnotliwej, mądrej, pani Szajny-Szajndli, aby żyła z. w. d.

Popierwsze uwiadamiam cię, że, Bogu dzięki, żyję zdrowo, aby Pan Bóg dopomógł, żebyśmy zawsze jedno o drugiem słyszeli tylko dobre nowiny i wieści pomyślne, zbawcze i pocieszające—amen.

Powtóre, widzę, że interes z domami, to błoto; fe, to tylko rwetes, latanie, skręcanie karku i tyle. Przedewszystkiem niema obecnie kupców na domy,

a jak już Bóg nadarzy raz kupca, to ten kupiec nie jest wcale kupcem. Żadne mieszkanie nie przypada mu do gustu. Jedno za blizkie, drugie za dalekie; to zbyt małe, tamto—duże.

A gdy już Bóg dopomaga, że wszystko jest jaknajlepiej podług życzenia, to zaczyna się „nowy rozdział”—*madam*.

Co „madam” powie? „Madam” nazywa się w Jehupecu akuratnie to samo, co w Mazepówce „żona.”

Ale sądzę, że *madam* jest o wiele gorsza od żony, bo żona to żona, a madam to madam, to jest całe: „Ja tobie dam ” Nie mogę ci tego opisać tak dokładnie.

Oto Bóg mi nadarzył kupca na domek, wcale niczego sobie człowieka. Nazywa się Garnuszek; jest, jak mówi, wnukiem wielkiego Garnka. No, to nalatałem się strasznie, aż znalazłem w końcu dla niego domek „antyk” [1]) jedyny, jak przystoi na niego. Załatwiłem z nim wszystko wokoło, umówiłem się co do „kurtażu” i ugodziłem z paru faktorami, co mieli do mnie pretensyę. I wtedy mówi do mnie:

— No, teraz pofatygujecie się do „madamy” i pójdziecie z nią obejrzeć wszystkie domki.

— Co to za „madam?”—pytam.

— Właśnie moja „madam” — rzecze, a potem woła głośno: — Mamusiu, przejdź się, duszo moja, z tym faktorem. Pokażc ci domy, które obejrzałem.

Z drugiego pokoju wyszła madam Garnuszek, nawet śliczna kobieta, wystrojona, jak „matka panny młodej,” obwieszona dyamentami i brylantami.

---

[1]) Przedmiot rzadki.

Obchodziliśmy wszystkie domy i żaden jej się nie spodobał. Ten będzie latem za gorący, ów zimą za chłodny; tu jej piwnice nie smakują, tam — stajnie.

Wreszcie nagadawszy się i nałaziwszy, opowiada, że ją głowa boli, że jej niedobrze. Wracamy do męża, a ta mu zagrała marsza, zmieszała z błotem, a on, pan Garnuszek, stoi, choć go wydój, słowa nie odpowie, tylko prosi:

— Mamusiu, mamusiu!

Z interesu nic się nie zrobiło, a ja zawczasu zabrałem się do innego handlu, do dóbr.

Dobra — to zupełnie inny rodzaj handlu! Po pierwsze, nie trzeba do tego drzeć butów; pisze się liścik, posyła „opis;” *tamten* jedzie oglądać ziemię i z Boską pomocą jest interes.

A powtóre, nie handluje się z byle kim, z Garnuszkami; ma się do czynienia z „purycami,” dziedzicami, książętami, hrabiami: hrabią Przembojskim, hrabią Groszgolskim, hrabią Przempeckim. To ty mnie zapytasz: zkąd mnie do hrabiów? W tem cała historya!

Jak ci przecie wiadomo, nie wolno mnie tu mieszkać... I zdarza się, że przychodzą w nocy na stancyę „szukać chleba kwaszonego” [1]). Ale właścicielka daje nam znać zawczasu, abyśmy zdążyli rozejść się, „jak sól w wodzie:” jeden do Bojberyku, drugi na Demiówkę, trzeci na Słobódkę... [2]). Nieraz jednak zdarza się, że sama właścicielka nie jest uprzedzona, kiedy będzie „zamieszanie,” wtedy jest bardzo niedobrze!...

Zeszłego tygodnia spaliśmy w łóżkach, ja i wszyscy goście, a tu słyszymy stukanie. Właści-

---

[1]) Na rewizyę.
[2]) Przedmieścia Kijowa.

cielka, drżąca ze strachu, skacze do drzwi, lecz naprzód woła na nas:

— Żydzi, właźcie w słomę!

Wyskoczyliśmy z łóżek i chowali się prędko: ten do szafy, ów do skrzyni, jeden do beczki barszczu, inny do piwnicy, a ja — na swoje stare miejsce, na strych. Leżąc tak w okropnym strachu na górze, dotykam kogoś. Był to także Żyd z Kamieńca. Stękał biedak.

— Dlaczego stękacie? — zapytałem go po cichu.

— Och i aj „do mnie"—mówi—moje papiery! Boję się o swoje papiery!

— Co za papiery?—badam go.

— Leżą tam — mówi — u mnie pod poduszką. Obawiam się, że zostanę bez papierów.

— Ale cóż za papiery? — mówię. — Czego się tak strachacie?

— Oj — woła — bardzo pilne papiery! Czynią bez przesady może pół miliona!

Usłyszawszy „pół miliona," podsuwam się cichaczem do owego Żydka i pytam:

— Zkąd wy macie tyle papierów i co to za papiery?

— To są dobra — odzywa się — mam dobra w guberni wołyńskiej, wielkie dobra, z najlepszemi „remanentami;" koni i wołów i owiec bez liku, z młynami wodnemi, z gorzelniami, z poważnemi dworami, wybornemi ogrodami, z wszelkiem dobrem.

Usłyszawszy takię gadanie, podsuwam się jeszcze bliżej do owego Żydka:

— Zkąd wy macie tyle dóbr z takim dobytkiem?

— Dobra — powiada — nie urosły na moich śmieciach. Dobra są dobrami „puryców." Należą—powiada—do hrabiego Przembojskiego, hrabie-

go Groszgolskiego, hrabiego Przempeckiego. Ale ja je mam w ręku, to jest sprzedaję je. Po to właśnie przyjechałem, zabrałem z sobą wszystkie papiery, ich „opisy.” Jak wam się zdaje, nie będę miał straty, broń Boże?

— Niech Bóg broni—mówię—kto to pożąda cudzego? Niech Najwyższy dopomoże, żeby tu przypadkiem nie przyleźli, tutaj do nas — mówię — na strych.

Korzystam z chwili, aby go zagabnąć:

— Ny, czyście co zrobili tutaj ze swemi dobrami?

— Nie — rzecze — dotąd nic jeszcze. Boję się tutejszych faktorów. Są, jak mówią, wielkimi łgarzami. Może wiecie o faktorze od dóbr, tylko o porządnym. Niech będzie głównie uczciwym, nie kłamca.

— Och—mówię—sam jestem faktorem od dóbr, to jest dóbr, póki żyję, nie faktorowałem, ale to nic, niechaj tylko Bóg nadarzy kupca, to nie sztuka robić dobra także.

— Widzę—mówi do mnie—że mam do czynienia z osobą uczciwą. Dajcież mi rękę uroczyście, że między nami to zostanie, to wam powiem, gdzie moje dobra leżą.

Z pomocą Boską zawarliśmy spółkę na wszystkie interesy, on daje do spółki wszystkie swe dobra, a ja—kupców.

M. M.

P. S. Zamieszanie, jakie powstało tu na stancyi, było niepotrzebnem zamieszaniem. To jakiś sąsiad przez pomyłkę stukał do naszego okna. Niepotrzebnie się chowaliśmy. Ale ztąd widać, że jak Najwyższy czyni, tak jest dobrze. Gdyby naprzykład sąsiad nie stukał do okna, to nie byłoby za-

mieszania, a ja nie znalazłbym się na strychu i nie zapoznał z Żydem kamienieckim i nie wiedziałbym o dobrach, ani o hrabiach. Teraz brak tylko kawałeczka powodzenia.

X.

List Żydówki.

.. Mam kaszel, którego życzę twoim „madamom" jehupeckim; piję już kozie mleko; byłam już także u doktora, to on mówi, że może mi napisać receptę.

— Na co mi — mówię — pańska recepta? Niech mi pan lepiej da lekarstwo na kaszel, żebym się go pozbyła jaknajprędzej, na głowy moich wrogów!

Ale lekarze, niech tak wiedzą o swem życiu, jak wiedzą, „kto ich rodzi!" Przez tę parę lat wytoczyli ze mnie tyle pieniędzy, że mogą to odchorować razem z apteką!

Co mi piszesz, Mendlu, o historyi z Garnuszkami, toś ty poprostu wsadził we mnie nową duszę. Zasługa wobec Boga, że was zagrzebują. Niechaj żyją twoje madamy, błogosławieństwo na ich głowę: jak mówi mama: „Gdy mąż jest gałgan, trzeba nim zatkać komin."

Dobrego szczęścia ci życzę z twym nowym handlem, z dobrami, z hrabiami! Jeszcze tak przebiera w interesach, co dzień nowy „geszeft." Nie dosyć, że taki jest zuch i chwat i taki wielki szczęśliwiec, to jeszcze się rozbija i szuka wad we wszystkiem; jak mówi mama: „Gdy dziewucha nie umie tańczyć, mówi, że muzykanci grać nie umieją." Obawiam się,

Mendlu, że tak długo będziesz próbował „geszeftów,” aż w końcu będziesz sprzedawał zapałki po ulicach, jak Gecel ciotki Iosi, co to wyjechał do Ameryki, a teraz pisze, że tam musi każdy pracować, bo inaczej może popuchnąć od głodu, a nikt mu nie poda kawałka chleba. Piękny kraj, niech się spali z twoim Jehupecem w jednym ogniu! Bardzo wam tak dobrze, jak mówi mama: „Gdy się posiada chleb, niechaj się nie zachciewa pierników.”

S. S.

P. S. „Niebo i ziemia, mówi mama, zaprzysięgły, się że nie będzie już na świecie rzeczy zupełnie straconej!” Zjechał do nas urzędnik z gubernii i szuka i wertuje, chce się dobadać, gdzie się podziały pieniądze, jakie Nuchem Menaszes zapisał na cele dobroczynne. „Szajgecy” zadenuncyowali, że pieniądze zostały u bogacza miejscowego, a bogacz przedstawia rachunki, że wydał pieniądze na kąpiel i szpital. Szukają teraz łaźni, to się spaliła, a szpitala to u nas nie było nigdy. Denuncyacye latają jedna po drugiej; we wszystkich bóżnicach biją się po gębie. Zamknięto wielki „Bethamidrasz.” Wielu poważnych ludzi wsadzono do kozy; prawdopodobnie pół miasta pójdzie w „ryszanckie rote.”

XI.

List męża.

...Posiadam już dobra na przeszło milion. To ty mię zapytasz, zkąd się wzięło do mnie takie bogactwo? To jest bardzo proste. Gdym wyszedł na

giełdę i „wybębniłem,” że mam do sprzedania dobra, to posypał się tłum faktorów, mających również dobra do sprzedania i zrobiliśmy interes, to znaczy, wymienialiśmy dobra na dobra, to jest, daliśmy im „opisy” naszych dóbr, a oni dali nam „opisy” swoich dóbr.

Słowem, jestem z Boską pomocą faktorem, jednym z wielkich i siedzę już wewnątrz u „Semadeniego,” jak wszyscy wokoło stolików marmurowych, i piję kawę z pieczywem maślanem, a na przekąskę biorę lody. Taki tu zwyczaj. W przeciwnym razie dochodzi „człowiek” i wypędza. Nie można być „świnią” i trzeba sobie kazać coś podać.

A czego Żyd nie robi dla zarobku? Tu, u „Semadeniego” jest właściwa giełda. Schodzi się tu cały świat faktorów.

Jest tu ciągle krzyk, jak nie przymierzając w bóżnicy. Wszyscy rozmawiają, śmieją się, gestykulują. Czasami się kłócą, nawet dochodzi do policzków, a potem do sądu, ponieważ przy podziale „kurtażu” zawsze są spory, i pretensye, i sądy, i przekleństwa, i policzki, i ja zawsze należę do tego wszystkiego.

M. M.

P. S. Jedne dobra mam w gubernii wołyńskiej, z pałacem po starym hrabim Przempeckim, to tam jest 66 pokojów, gdzie ściany, sufity i podłogi są razem na wskroś ze szkła lustrzanego, z ogrodem, co się nazywa „Handżyraj.” A znów konie i karety „oślepiają”—i to wszystko sprzedaje się za bezcen! Gdyby Pan Bóg przysłał mi porządnego kupca, to któżby mógł równać się ze mną? Jest tylko kawałek feleru, że faktorowie od dóbr są przeważnie „wadliwi na języku,” to jest, lubią czasami przesadzać. Ale co robić? Dla zarobku trzeba czasami także kłamać!...

XII.

List żony.

...Już „pluję krwią” przez twoje piękne liściki! Wstyd mi pokazać komu, co piszesz, jak mówi mama, niech żyje: „Największy ból jest ten, którego wypowiedzieć nie można...”

Co to za historya, pytam ciebie, siedzieć po całych dniach u *Symy Dyny*. (Kto to ona, do wszystkich „lat czarnych?” U nas była niegdyś Syma Dyna felczerka, to już dawno jest na „prawdziwym świecie!”) Pić kawę z „pieczywkiem” maślanem i żreć „marożnewe” w zwyczajną „środę?” Ma uciechę wielką, że posiada „żmenies” z 66 pokojami; 66 wrzodów niech mu „usiądzie” na języku. Bo co go naprzykład obchodzi tam w Jehupecu, co ja mam tu za robotę w dzień i nocy z dziećmi, *niech się palą?* Oto dopiero wczoraj Lejunia, co jej się ma stać, niech mnie się stanie—pobiła się z Mojsze-Herszlem, niechaj żyje, to go poczęstowała widelcem w twarz, szczęście, że nie w oko! Ale co to pomoże gadać mu swoje, jeżeli „w jedno ucho wchodzi, drugiem wychodzi;” jak mówi mama moja: „Odchodzi rzeźnik, to pies wskakuje na kloc.” Takie morderstwo, piszę i piszę, i pękam od pisania, a on siedzi sobie „w ciętych ranach” w Jehupecu i pije kawę, niechaj go piją pijawki, i patrzy, jak faktorowie policzkują się na giełdzie! Oby Bóg natchnął rzeczywiście kogo, ażeby się z tobą policzył, jak zasługujesz, tobyś może zmądrzał i przestał handlować wiatrem i snami, a na mnie przyszłoby już raz zbawienie! Ale niechaj mi się zdaje, żeś ty, dajmy na to, podróżował koleją i, broń Boże, zabiłeś się, lub tak gdzieś na równej drodze, niechaj Bóg broni, skręciłeś kark i szyję, bo zamiast takiego życia

pustynnego, że ja jestem tutaj, a ty tam u wszystkich „lat czarnych,” to już tysiąc razy lepiej, albo żeby cię tam spotkała śmierć nagła, albo żebym ja tu została po tobie wdową, jak ci życzy wiele dobrego i t. d.

XIII.

List męża.

...Handluję już teraz tylko lasami. Ponieważ same dobra bez lasu zdadzą się „na 99 odkupień!” Dobra bez lasu, to jak izba bez komina, lub kot bez ogona. Całym „antykiem” wszelkich dóbr, jest las. Lasy uszczęśliwiały Żydów, na nich robili miliony!

A zkąd ja do lasów? To taka historya. Słuchaj, jak Bóg kieruje: Gdym tutaj stał się faktorem od dóbr i zacząłem „trzeć” się o faktorów, natrafiłem akuratnie na jednego z wielkich faktorów. Nazywa się Kuperfogel, „piękny” Żyd, zdrów „bez uroku,” z czerwoną brodą i pasem na brzuchu. To on mnie pyta:

— Co za towar macie, a no pokażcie?

To ja wyjmuję paczkę „opisów” dóbr na 1,700,000.

To Kuperfogel odzywa się do mnie:

— Nie obrażajcie się na to, co wam powiem: wszystkie wasze dobra nie są warte trzech niuchów tabaki. Możecie, jako żywo, zebrać wszystkie razem i wyrzucić na „czyste miejsce.”

— Dlaczego?

— Dlatego, że wasze dobra są gołe dobra, ziemia i niebo i jeszcze raz ziemia i niebo. Gdzie

to cokolwiek lasu? Na co mi potrzebne dobra, gdy niema lasa? Czemu milczycie? Lasu dajcie tutaj, lasu!!!

Zamilkłem, bo mi było wstyd wobec samego siebie, że noszę się z takim rodzajem towaru, co wcale nie jest towarem!

— Jeżeli tak—odzywam się do Kuperfogla—to dajcie mi jakie porządne dobra z lasem, mam kupców.

— Och—powiada do mnie—mam dla was las, którego nie „lasowali" nasi rodzice. Żadnego „syna Adama" jeszcze tam nie było. Są tam drzewa od stworzenia świata. Dęby do chmur wysokie, istne „cedry libanu"; z jednej strony kolej żelazna, z drugiej rzeka. Ale jaka rzeka? Oto las i oto rzeka. Rąb drzewo, pluch do wody!

Usłyszawszy to, pożegnałem go, zaraz i dalej zwęszyć kupca na ten las. I Bóg mi dopomógł, znalazłem kupca, przez faktora, a ten przez innego faktora. Ale to nie szkodzi. Niech Bóg da, żeby interes był interesem, to starczy dla wszystkich. Przybyłem do kupca, (nazywać, to się nazywa Chaim Jankiel, a przezywać przezywają go reb Szmojger, sam jest z Żytomierza, a mieszkać mieszka w Białempolu), i wyłożyłem mu, że mam taki a taki las „od stworzenia świata", z jednej strony kolej, z drugiej rzeka, rąb drzewo, pluch do wody. Interes owszem podobał mu się, to też niezwłocznie zaczął mnie egzaminować z „kodeksu" leśnego:

— Powiedzcie mi — odzywa się do mnie—jak się nazywa ten las i gdzie on stoi, i jakie drzewa tam rosną, ile arszynów mają przy ziemi, ile wysokości i szerokości. Odkąd się zaczynają gałęzie, jaka jest na nich kora, a jak idą słoje wewnątrz, i którędy się do nich dojeżdża, a jaka jest droga i czy w zimie są tam śniegi i czy sam należę do tego interesu, czy z innymi faktorami, i czy jestem

tutejszy, i gdzie wzrosłem, i czy jestem żonaty, i czy mam dzieci i czy już załatwiłem się z powinnością wojskową, i dla czego nie noszę zegarka i jak mi się podoba Jehupec, i czy pragnę zarobić pieniądze, i czemu milczę?..

Słowem, zasypał mnie pytaniami i nie dał mi wymówić wyrazu. Dopiero w końcu powiada do mnie:

— Na co się zdadzą nam puste gadania. Wy przynieście lepiej opis lasu, to potem pomówimy.

— Na co wam opisy? Raczej ot! poskoczę na jednej nodze i sprowadzę wam tutaj samego sprzedawcę, właściciela lasu!

Pobiegłem do swego Kuperfogla, chwytam go i sprowadzam do „Imperialu”, gdzie kupiec ma stancyę i wprowadzam prosto do numeru. Gdy się ujrzeli, to ich napadł śmiech głośny, sądziłem, że ich obu szlak trafi.

— To jest wasz właściciel lasu?

— To jest wasz nabywca lasu?

Wtem drzwi się otwierają i wchodzą dwaj Żydzi. Jeden nazywa się reb Josel (czarny), drugi reb Berysz (rudy). Obaj są z Białegopola. Nie rozprawiając długo, rozkładają stolik, wyjmują karty i we czterech siadają do „oka”, a interes odłożyli z wolą Boską na jutro.

M. M.

XIV.

List Żydówki.

...moje życie to nic żadne życie, jak mówi mama: „Zamiast tak jeździć, to już lepiej iść pieszo”.

Mogę sobie wyobrazić, kim są twoi kupcy, jeżeli schodząc się, żeby omówić sprawę lasu, który wart jest miliony, rzucają wszystko i siadają do „oka” na całą noc, oby was tak „okowało” w głowie, jak mnie „okuje” w sercu, gdy mię napada kaszel okropny.

Do twoich zalet wielkich brak ci tylko tego, Mendlu, żebyś już sam grywał ze wszystkiemi kobietami w tę grę piękną, stał się „kartożnikiem” na starość!

Naści znowu lasy! Zkąd ty do lasów? Czy twój ojciec handlował lasami? Czy dziadek twój widział las kiedy? Czy ty sam widziałeś, jak drzewo rośnie? Jak mówi mama, niech żyje: „Zkąd rabinowi handlować wieprzami?” Obawiam się, że z twoich lasów będzie „strych”, jak i ze wszystkich twoich złotych interesów, bo z tego, co piszesz o swych obecnych kupcach, widzę wyraźnie, że twój Kuperfogel, niech mi wybaczy, jest albo kpiarz albo kłamca, a twój reb Szmojger z Białegopola to właśnie „szmojger”, to jest niedołęga wielki; moje utrapienia na jego głowę i na twoje ręce i nogi, jak ci życzy wiele dobrego.

S. S.

P. S. Cały „świat” ma z tobą do czynienia, obyś miał ośmdziesiąt „lat czarnych”! Zeszłego tygodnia twoja krewna Jentla, niech będzie „odkupieniem” za mnie, spotyka się z moją mamą na targu przy rybach, i zaczyna mnie opłakiwać, wielka plaga na nią! Bo to, mówi, litość „gorzka” na mnie patrzeć, żeś ty mnie, mówi, porzucił młodą, samotną, żeś mi świat „zamroczył”, niech jej będzie samotnie i mroczno! Dlaczego, mówi, nie biorę już lepiej od ciebie rozwodu i niech raz będzie koniec? Przedstaw sobie, mama jej dała za swoje; nie kłó-

ciła się z nią, broń Boże, nie wymyślała, lecz tak sobie dała przytyki słowami, jak ona potrafi:

„Gdzie dwoje i jedna poduszka,
Niech obca nie wdepnie tam nóżka“.

„Zamiast nowej skorupy, wolę stary garnek”. „Przyjaciele to jak pokrzywy, rosną bez deszczu”. „Czemu raczej nie spojrzysz na bliższego?” „Każdy czuje, że *tamten* jadł czosnek”. „Niechaj każdego boli głowa o siebie, to zapomni o drugim”. „Wół ma długi język i nie potrafi dmuchać w trąbkę” i t. p.

XV.

List męża.

...wiedz, że z tego lasu, który mi dał Kuperfogel, nic się nie stało. „Niema niedźwiedzi ani boru”, niema lasu, ani drzew, ani rzeki, „dzień wczorajszy”! Daremnie durzył głowę i komu i sobie; daremnie się nogi łamało, darło buty. Może wiesz, na co mu było zwodzić mnie w ten sposób? Byłbym jeszcze do dziś dnia nosił się z tym lasem—snem. Ale co Bóg czyni? Zapoznałem się z jakimś faktorem z Odesy, z wielkich faktorów, co „robią dobra” i lasy. Nazywa się reb Lajzer. Ten oto ma ogromne szczęście: tydzień w tydzień „robi” nowe dobra! Pono, że dotychczas „zrobił” już czternaście gubernii!

Gdym się zapoznał z nim i wspomniałem mu o swym Kuperfoglu z jego wielkim lasem, to podsko-

czył do góry, jakbym go oblał szaflikiem wody wrzącej.

— Proszę was—mówił do mnie—nie wspominajcie mi nawet imienia Kuperfogla, niech jego imię i pamięć zaginą. To jest rozbójnik, „anioł śmierci", on mnie kosztuje majątek!

— Czy on wam zabrał pieniądze?

— Niech Bóg broni, pieniędzy mi nie zabrał, ale wyrządził mi szkody niezliczone przez swe kłamstwa, unieszczęśliwił mnie! Taka była historya: Będzie to temu już lat kilka, ja wtedy tylko co stałem się faktorem dóbr i lasów. Dokąd jedzie faktor? Zwyczajnie do Jehupeca. Przyjeżdżam podczas „kontraktów". Tumult, jarmark! Zaczynam krzątać się około Żydów i poznaję tego czerwonego Kuperfogla, aby go porwało! Rozmawiam z nim tędy, owędy, to, owo. Może ma do sprzedania dobra, las porządny? Zaledwie usłyszał „las", to mnie zasypał lasami:

Jeden las ma na Polesiu, „cedry libanu"! Drugi las w gubernii podolskiej, to obejmuje 40 mil kwadratowych! Inny las jest w gubernii wołyńskiej z takiemi dębami, że chcąc jedno drzewo obejść wokoło, trzeba iść i iść może trzy kwadranse i to nie iść powoli, lecz biedz, i to nie pieszo, lecz konno! I jeszcze jeden las w guberni czernihowskiej, którego się nie wyrąbie przez lat tysiąc, bo tu rąbią, a tam odrasta!

Poprostu zawrócił mi głowę, a ja sądziłem, że to święta prawda, niech on się spali! Tymczasem przychodzę raz do zajazdu, w którym mieszkał, i widzę: na schodach leży portfel wypchany! Byłem przekonany, że to skarb. Chwytam portfel i lecę do domu. Tutaj patrzę — papiery, opisy dóbr, lasów niżej kosztu! Zabieram się prędko do pisania listów, depeszuję do kupców i puszczam się w podróż, żeby oglądać te taniości. — Pokazuje się: gdzie tam

dobra? jakie tam lasy? Ani się zaczyna! Niestworzone rzeczy, bajki!

Co tu wam gadać, wykosztowałem się wtedy, zapożyczyłem, zastawiłem i ludzie jeszcze podejrzywali mnie, że kłamałem. A może sądzicie, że ten hultaj czerwony, aby go porwało, nie rozpuścił o mnie pogłoski w Jehupecu, że go zrujnowałem, ograbiłem cały jego majątek, portfel? Teraz rozumiecie, kto jest Kuperfogel, aby o nim pamięć zaginęła?!..

Słowem, przekonałem się, że lasy to nie dla mnie, nie dla mojej głowy handlowanie z takimi kłamcami.

Mogą ci wymyślić jarmark na niebie i można przez nich dostać się na dno piekła. Zawczasu zabrałem się do innego „geszeftu", do cukrowni.

To teraz najlepszy geszeft. Żydzi kupują cukrownie i faktorzy zarabiają pieniądze, zbierają kapitały! Jest tu faktor z Białejcerkwi, nazywa się Liber, to dostał się do kupców z Radomyśla i „robi" dla nich co tydzień 2—3 cukrownie, „łapie" 10—15,000 i jedzie na „szabas" do domu! I jeszcze jeden jest tutaj, bardzo wielki „macher" od cukrowni, to mój znajomy z Bogusławia. Było się niegdyś z nim za „pan brat", ale teraz mnie nie poznaje. Jeździ na „kółkach z gumalastyki" i niema, nawet czasu odkłonić się. Bagatela, człowiek, który „narobił" tyle cukrowni i wciąż „robi"!.

Cóż chcesz więcej: subjekci, faktorzy stali się obecnie „macherami" od cukrowni; noszą złote zegarki, mówią po niemiecku, mają już „katar żołądka", posyłają swe żony do badów, stali się wielkimi arogantami — niepodobna już zbliżyć się prawie do tych „stykratów"! Słowem, jeden geszeft pozostał teraz w Jehupecu na giełdzie—cukrownie!

A zkąd ja się dobiłem takiego interesu „fundamentalnego", o którym nie mam pojęcia?

To posłuchaj, jak Bóg kieruje człowiekiem: Od pewnego czasu zaprzestałem uczęszczać do Semadeniego (nie jak ty nazywasz Syme Dyne; to mężczyzna, nie kobieta, i to nie Żyd, ale „Niemiec”!), a chociaż przestałem nie dla tego, że się z nim, broń Boże, pokłóciłem, lecz poprostu, ponieważ obrzydła mi kawa i lody, a przytem niemam rzeczywiście drobnych. Zacząłem więc kręcić się na ulicy wraz ze wszystkimi Żydami, aż się zapoznałem z faktorem od cukrowni; nazywa się reb Alter Mełamed, wygląda na bardzo uczciwego człowieka i ma rozległe znajomości.

— Zkąd — powiada do mnie — Żyd przybywa?

Z Mazepówki — mówię. — Sam jestem, znaczy to, z Jampola; zapisany jestem w Tetrewicach, zięciem jestem z Mazepówki, a „handlować handluję” w Jehupecu.

— Co to takiego — odzywa się do mnie — ta Mazepówka? Wieś, czy miasteczko? A czy wolno tam Żydom mieszkać?

— Jak jeszcze wolno! Pełno ich tutaj.

— Ny, a rzeka jest u was?

— Jeszcze jaka rzeka? Smrodówka nazywa się ta rzeka?

— Ny, a od kolei daleko?

— Wszystkiego. 70 wiorst. Dlaczego o to pytacie?

— Dajcie mi—mówi—rękę uroczyście, że u nas dwóch to zostanie. Mogę wam obwieścić dobrą nowinę. Jak Bóg zechce, możemy razem wkrótce zarobić pieniądze, i to dużo, „pełną czapkę”! Tylko co wpadłem na pomysł, który zdarza się raz na sto lat. Ponieważ nabywców cukrowni jest teraz bardzo wielu, ale niema cukrowni, przeto „świat” wziął się do budowania świeżuteńkich cukrowni, a ponieważ po wsiach Żydom mieszkać nie wolno, przeto

szuka się miejsca pod cukrownię tylko w małych miasteczkach. Teraz już rozumiecie, że wasza Mazepówka to stworzona od początku świata na miejsce pod cukrownię? A jak mnie widzicie, to mam właśnie kupca, co chce budować małą cukrownię za jakie pół miliona rubli, ale brak miejsca; wyłapali wszystkie miejsca!

— Nie wiecie—mówi do mnie—do kogo należy to wasze miasteczko?

— Kiedy „stary, niech pamięć jego będzie błogosławiona", żył, to do niego należało miasto i okolica, a gdy „stary odszedł", to miasto przeszło do reb Motla, a okolice do młodszych dzieci.

— Nie o to pytałem! Pytam, z kim się tam mówi o budowie cukrowni, i czy dostanie się buraków, i jaka będzie cena placu pod budowę cukrowieńki?

— Och, mam tam mnóstwo znajomych; mogę zaraz wyprawić do nich liścik i odpowiedzą szczegółowo! Przeto, małżonko moja droga, piszę ci o tem i proszę cię właśnie, abyś się widziała ze Srulem starostą i Mośkiem czerwonym, ten obraca się wśród „puryców", to niech ich wymaca, czy można będzie plac otrzymać, i ile będzie buraków, i po jakiej cenie, i zechciej zaraz odpowiedzieć mi listownie, bo to nader pilne, można tu złapać coś grubego, właśnie z 10—15,000, tak mówi reb Alter, a pracujemy teraz do współki.

M. M.

P. S. Wypytywałem reb Altera, kto chce postawić cukrownię i dowiedziałem się, że ten kupiec, to jeden z „radomyskich", bardzo „gorący" kupiec, ponieważ radomyscy są wszyscy tacy, palą się do cukrowienek, do zakładów przemysłowych; niech to będzie wiatrak, byle z kominem i świstawką! Przeto

ufaj w Bogu, że ten interes, jak Bóg zechce, będzie napewno interesem i z Boską pomocą zarobimy napewno pieniądze, chociaż nawet jest tutaj spora paczka spólników. Ale niech Bóg da, żeby interes był tylko interesem.

XVI.

List Żydówki.

Powtóre piszę ci, że czytałam twoją „megilę,” czytałam i ani słowa nie zrozumiałam o co ci idzie! Co mnie obchodzi Kuperfogel i jego portfel? Niech on sobie bije łbem o ścianę z twoim reb Lajzerem i ze wszystkimi twymi szarlatanami jehupeckimi, co umieją tylko albo grać w karty, albo źreć lody!

I co to za rodzaj interesu ten obecny, którym się zajmujesz? Na co trzeba tyle cukrowni? I kto to są te niedorajdy, coś to z nimi zawarł spółkę? Co to za nieszczęście z tobą, że ktobądź do ciebie przystąpi, to już twój towarzysz, i cokolwiek ci opowie, przyjmujesz za dobrą monetę, jak to mówi mama:

„W dobrym żołądku wszystko w porządku”.

Pytasz się jeszcze, czy tu jest miejsce; to ci piszę, że na nowym cmentarzu jest go dosyć, starczy dla połowy Jehupeca! A czemu zapytujesz jeszcze ciągle o buraki? Dlaczego nie zapytujesz „jedną drogą” o kapustę, chrzan, pasternak? A rzeka? Żeby twoi spólnicy mieli takie szczęście, jaka u nas woda! Nadchodzi pora przedwielkanocna, to w wodzie pełno jaszczurek; nadchodzi lato, to rzeka zielona, jak trawa; chciałabym, żeby twoi jehupeccy, co cierpią na żołądki, skosztowali naszej wody około lipca...

Wybij sobie z głowy wszystkie te głupstwa. Zrobisz tak cukrownię akuratnie, jak „zrobiłeś" lasy, dobra, domy i cukier.

S. S.

P. S. Aha, powiedz-no, Mendlu, co to za nowość opowiadają u nas o „ziemi Izraela?" Mówią, że tam, w Jehupecu, już się zapisują do ziemi Izraela. Kto się zapisuje na czterdzieści kopiejek, ten jedzie. Co to za gatunek? U nas zaczęli o tem poważnie rozprawiać; młodzieńcy zbierają się co noc u Josla Mojszy-Josa i gadają o ziemi Izraela. Ale dowiedzieli się o tem rabini, rzezacy i „dajen" i zaczęli gwałtu wołać: Co to, chłopcy będą nas za nos wodzić? Szajgecy! Hultaje! — słowem, okropność, co się dzieje, jak mówi mama: „Już za długo było spokojnie!..."

XVII.

List męża.

Handel cukrowniami ostygł bardzo; przyszedł na nie kryzys, poprostu cukrownie poniewierają się na ulicy, niema kupców! Co się stało?

Bardzo zwyczajnie: „świat" objadł się za dużo tych cukrowni, pieniądze są drogie, a cukier bardzo tani, bo narobiło się tyle cukrowni, że niema gdzie go podziać, choć go wyrzucaj przez okno!

A po za tem dowiedziałem się, że to wszystko jeden szwindel, możesz mieć najpiękniejszą cukrownię bez „feniga miedzianego."

Podam ci rachunek. Naprzykład, chcesz po-

siąść cukrownię za pół miliona rubli, to wypuszczasz akcye na 600,000. Akcye zastawiasz i bierzesz za nie pieniądze. Cukier sprzedajesz na pół roku z góry i bierzesz pieniądze. Potem wyrabiasz sobie kredyt w banku i bierzesz pieniądze i podpisujesz weksel i bierzesz pieniądze! Co zaś będzie potem? Jak ty mówisz:

Niech o dzień jutrzejszy
Bóg dba Najwznioślejszy.

Boć to albo — albo: pójdzie dobrze, to doskonale, nie pójdzie, staniesz i poprosisz o ogłoszenie bankructwa. Co tu stracisz na tem? Niech sobie banki i wierzyciele biją łbem o ścianę!... Słowem, interes jest pogrzebany. Cukrownicy błagają o pieniądze, kapitaliści nie chcą dawać, a faktorzy próżnują.

Ale się nie troszcz wcale, Bóg jest Bogiem, a Jehupec miastem. Tacy ludziska, jak ja, nie przepadają, broń Boże. Owszem, mam dopiero nadzieję, że teraz, jak Bóg zechce, dorobię się, bo prowadzę obecnie interes, na którym powinienem zarobić na swoją część prawie około stu tysięcy. Interes wynosi z dziesięć milionów, a może jeszcze więcej, to wcale nie ma miary, ani granicy. Podobno, że złota samego ma tam być tysiące funtów. A teraz gdzie srebro, żelazo, miedź, ołów, rtęć? O węglu i kamieniach już nie mówię! Teraz są tam lasy i pola i wszelki dobytek, a „chcieć chcą” za to tylko półtora miliona. To, jako żywo, jak znalezione, jak od złodzieja!

Jeden feler jest tylko, że to cokolwiek za daleko, to znaczy, że tkwi aż na „Symbirze,” a jeździ się tam może ze trzy tygodnie z rzędu, bo do tego miejsca nie dochodzi kolej.

Doszedłem do tak dużego interesu przez dziwny przypadek. Zeszłego tygodnia na Padole miał mieć kazanie „mówca.” Poszedłem do bóżnicy posłuchać go. Mówca kazał bardzo „delikatnie.” Po modlitwie „szames” zaprowadza mnie do mówcy i mówi:

— Oto macie Żyda z „Kreszczatki.”

Mówca zwrócił się do mnie ze słowami:

— „Szulem-Alajchem.” Czy nie wiecie kto u was handluje złotem i srebrem?

— Dlaczego mam nie wiedzieć? Złotem handluje tu wiele osób, ale największy interes złoty jest u Marszaka. Tam dostaniecie i zegarków, i dewizek, i dyamentów, i brylantów, i czego tylko chcecie.

— Nie o to mi idzie. Pytam się, który z was jest amatorem kupna złota, ale takiego złota, co leży jeszcze pod ziemią? Jestem mówcą i objeżdżam „świat cały,” ale z samych kazań żyć trudno, to zajmuję się niekiedy ubocznym interesikiem, swataniem, tem, owem, co Bóg da. Tymczasem byłem w Jekaterynosławiu, tam właściciel zajazdu nastręczył mi interesik: Ponieważ jadę do Jehupeca, który słynie ze swych „spekulantów,” przeto może napotkam amatora na dobra o 860,000 dziesięcinach na „Symbirze,” gdzie jest złota, i srebra, i żelaza, i miedzi, i rtęci bez liku.

Zawlokłem mówcę na swoją stancyę i wziąłem od niego kartkę z zapewnieniem, że w razie dojścia interesu do skutku, podzielimy się zarobkiem. (Liczę, że powinniśmy tu „złapać” co najmniej ćwierć miliona!) Podział będzie równy na trzy części, to znaczy: ja, on i Żyd z Jekaterynosławia. A przy takim interesiku złapać ćwierć miliona, to nie wiele; Żydzi przy takich interesach zarobili o wiele więcej!

Nazajutrz wyszedłem na giełdę i zacząłem rozmyślać, komu tu przedstawić taki interes duży? Oczywiście Brodzkiemu!

To jednak bieda, jak tu dostać się do Brodzkiego.

Najpierw stoi przy samych drzwiach szwajcar z guzikami i ogląda kapoty; jeżeli się nosi starą kapotę, to wejść nie daje.

A jak Bóg pomaga i człowiek się załatwi ze szwajcarem, to się stoi ze 6 godzin na schodach i wyczekuje.

Brodzki przelatuje, jak „strzała z łuku," a zanim się człowiek obejrzy, siedzi już w karecie. Trzeba iść do domu i przyjść nazajutrz, czekać, aż się zobaczy przelatującego Brodzkiego.

Ale wiesz przecie, że ja nie lenię się. Więc chodzę tam codziennie i napatrzę się na „świat ludzi," największe osoby na świecie.

Słowem, chodzę i chodzę, a nic dotąd nie wskórałem. Miałem tylko raz jeden szczęście pomówić parę słów z kasyerem Brodzkiego, wysokim Żydem o brwiach długich, który przy rozmowie nie patrzy nikomu w oczy. Przechodząc, zapytał mnie:

— Czego potrzebujecie?

— Mam interes do Brodzkiego.

— Jeżeli chcecie jałmużny, to pofatygujcie się do młyna, tam dają.

— Nie jestem, broń Boże, biedakiem, to znaczy biedakiem jestem wielkim, ale nie biorę jałmużny.

Ściągnął brwi i poszedł rozgniewany na swoje miejsce.

Widziałem tam jeszcze jednego, który krzątał się ciągle, z dużym brzuchem. Sądziłem, że to napewno jeden z Brodzkich. Podszedłem więc do nie-

go bardzo blizko i oddałem mu „piękny” dzieńdobry. A on podniósł na mnie „parę oczu” i spojrzał, to mi dusza prawie uleciała!

W Bogu nadzieja, zapewne raz dotrę, a wtedy będzie dobrze.

M. M.

P. S. Pytasz o „ziemię Izraela,” to pewnie idzie ci o „Syonizm?” To jest bardzo „wysoka sprawa,” chociaż w Jehupecu na giełdzie tego nie traktują poważnie. Byłem parę razy u tutejszych „cyonistów” na „zasyedaniach” i chciałem się dowiedzieć, co to jest takiego. Ale mówili w języku, którego ja nie rozumiem, więc nie wiem, o co idzie.

Parę razy mówiłem nawet o tem ze swymi towarzyszami z giełdy, ale oni śmieli się ze mnie:

— Co tu wiedzieć? Syonizm! Doktór Mandelsztam! „Dzień wczorajszy!”

Przyrzekli mi pożyczyć książkę żydowską o „Syonizmie,” jak przeczytam tę książkę, opiszę ci wszystko obszernie.

XVIII.

List Żydówki.

Moja Gitla, niestety, została wdową z 7 sierotami, jedno od drugiego mniejsze! Szwagier mój, mnie na dłuższe lata, zmarł z powodu zęba. Szwagier nawet nigdy nie był człowiekiem zdrowym, często gęsto pokaszliwał i krew mu się pokazywała,

oby to się mnie nigdy nie zdarzyło. A jednak sądziliśmy, że jeszcze się „męczyć i męczyć” będzie, tymczasem wyjmuje sobie ząb u Szmelki felczera, wraca do domu, kładzie się i umiera, jak mówi mama, jej na dłuższe lata: „Nikt nie wie, czyje będzie jutro...”

A tymczasem, niestety, Gitla, niech będzie zdrowa i silna, płacze, nie można wcale jej łez opisać!

Zapewne, gdyby broń Boże, odwrotnie, siostra moja, jej na dłuższe lata, była, niech Bóg broni, umarła, a Zalmen Meir zostałby wdowcem, toby tyle łez nie wylewał. Byłby po „trzydziestce” (30 dni) sprowadził sobie z Berdyczowa macochę dla swych dzieci.

Mówię to właśnie o wszystkich wogóle mężczyznach, utrapieniem możecie być żon waszych, a ty tembardziej, bo gdzie się to słyszało, żeby „ojciec dzieci” wbił sobie waryactwo do głowy—miliony!

Pisałam ci już dziesięć razy, że potrzebuję ciebie „na odkupienie” z twemi milionami! Szczęście go spotkało: stoi u Brodzkiego pod drzwiami! Obawiam się, że dalej nie pójdziesz; szkoda butów, jak żyję! Oto zaraz Brodzki wyrwie miliony i poleci na „Symbir.” ¡Co jest? Menachem-Mendel sam słyszał od „cielęcego mówcy,” że on słyszał, że tam gdzieś u wszystkich „lat czarnych” poniewiera się złoto i żywe srebro, jak mówi mama:„ „Głuchy słyszał, jak niemowa opowiadał, że ślepy widział, jak kulawy biegał.”

Ale wiem z góry, że w drugim liście napiszesz mi, że złoty interes spełzł na niczem. Znajdzie się jednak nowa plaga i opowie ci, że krowa frunęła przez dach i zniosła jajo, a ty rozpuścisz poły kapoty i będziesz znów leciał, jak waryat, obyś już zwaryował za wszystkich Żydów! Gdybyś przecie

pomyślał, że masz w domu żonę do stu dwudziestu lat i drobne dzieci, co ciebie wyglądają, jak Mesyasza, toby ci się nie zachciało włóczyć się po cudzych domach i nosić się z takiemi głupstwami, że żółć wzbiera, gdy się to słyszy.

Jeszcze ciebie Jehupec nie nauczył, oby się spalił w ogniu wraz z tobą, jak ci życzy wiele dobrego i t. d.

S. S.

XIX.

List męża.

...Mamy wielkiego Boga, który kieruje Swym światem rozumnie, rozsądnie i litościwie, troszczy się o wszelkie Swe twory, nie daje żadnemu zginąć i wspomaga tego, co ufa w Nim. Jego cuda wielkie spostrzegam dziś jawnie na sobie właśnie.

Zostałem był już prawie „na wodzie,” bez żadnego interesu. Co czyni Bóg? Domacam się nagle szczęścia aż na Kaukazie!

Trzeba ci objaśnić i opowiedzieć wszystko obszernie, jak Bóg kieruje, a sama zobaczysz, że musi się wierzyć w Boga! Niema innej rady.

Posłuchaj historyi: Gdy zacząłem „bywać u Brodzkich," stałem się wielką powagą na giełdzie, i zaczęli się do mnie dobierać faktorowie z całego świata z tysiącami interesów: były tam domy i dobra, i lasy, i koleje żelazne, i parostatki, i fabryki na miliony, a wszystko dla Brodzkich!

Pośród tych faktorów jest para spólników nietutejszych. Jeden to Żyd z piękną brodą, nosi ha-

welok, a drugi ma dziwne nazwisko, które wstydzę się wypisać...

Złapali mnie raz, gdy wracałem od Brodzkich, a „hawelok" (mówi, nieco sepleniąc) odzywa się do mnie w te słowa:

— Wysłuchajcież, reb Menachem-Mendel, co wam powiem. Historya tego jest taka. Aczkolwiek nie mieliśmy jeszcze honoru mówić z wami, to znamy was bardzo dobrze jeszcze z czasów, gdyście smalili interesy z największymi kupcami; słyszeliśmy, że wy tam kręcicie się koło Brodzkich, czemu nie? niech wam Bóg dopomoże; co my mamy do was?

— Jeżeli tak, to czegoż chcecie?

— Czego mamy chcieć? Chcemy tego, czego chce każdy faktor, chcemy zarobić. Jesteśmy także faktorami, mamy także interesy, co za pytanie? Trochę w waszem szczęściu, trochę w naszem szczęściu; może co „zrobimy," to zrobimy do współki, będzie „działówka."

— Mamy interesów bardzo wiele z Boską pomocą. Mamy węgle w gubernii połtawskiej, żelazo w powiecie kaniowskim, młyn spalony w Jekaterynosławiu, zupełnie nowe maszyny, które wynalazł Żyd z Pińska, i fabrykę podwiązek papierowych. Teraz mamy „puryca," co chce zamienić las na gorzelnię i mamy Żyda, co chce kupić wielki dom w Jehupecu, bez pienięndzy. A teraz dobra! lasy! Może wy macie kupców, to my wam damy dobra, albo też może wy macie dobra, to wam damy kupców.

— Nie — mówię — dobrami i lasami już nie handluję. Sparzyłem się na dobrach i dałem sobie słowo, że nie wezmę więcej do rąk dóbr, ani lasów.

— Et—odzywa się „hawelok"—czy to wszystkie interesy są jednakowe? Są rozmaite dobra.

Oto teraz mamy na Kaukazie dobra z naftą, to znaczy taki gatunek ziemi, z której tryska nafta, tryska i tryska i nie przestaje wcale tryskać. Podobno nawet ziemia może tam wyrzucać milion pudów nafty dziennie!...

— Jeżeli tak, toście „nasz brat,” to jest interes; *to* mi dajcie!

Udaliśmy się do „żydowskiej mleczarni.” (Nie chodzę już teraz do Semadeniego, ponieważ tam trzeba się napić czego, a w „żydowskiej” to swojsko, między Żydami, można siedzieć i rozmawiać i robić, co się podoba, charkać i pluć, i nic nie pić...)

Omówiliśmy interes i zawarliśmy spółkę, a gdy przyszło do podpisania umowy, odkryli mi tajemnicę, że około tego interesu pracuje jeszcze kilku spólników. Jeden z grubemi wargami, Piernik; drugi rudy, handluje zegarkami, straszny blagier, niech Bóg chroni, a trzeci z czerwonym nosem, na którym rosną porzeczki, jest także „dziki” blagier; jeszcze jeden wreszcie, wdowiec, niestety, Izak, kręci się koło Brodzkich,

Gdym usłyszał, że jest tylu spólników, to mi się zaczęło niepodobać, ale „hawelok” tak długo mnie namawiał i opowiadał zachęcające przykłady, że musiałem przystać na podpisanie się na papierze.

Bóg niech tylko mnie poszczęści, to z wolą Boską będzie wcale nieźle, bo przy podobnym interesie zarobi choć z milion rubli.

Postanowiłem z wolą Boską, nie obowiązując się, że o ile interes się zrobi, wynajmę zaraz kantorek na Mikołajewskiej, jak wielki Abramsohn, i podkupię jego człowieka, żeby się do mnie zgodził i będę z Boską pomocą wielkim faktorem, jak Abramsohn, do którego wszyscy mali faktorowie chodzą,

jak do rabina. I mam nadzieję, że jak Bóg zechce, dokonam takich samych czynów dzielnych, jakich dokonywa Abramsohn.

M. M.

P. S. Posłuchaj historyi, jaka zdarzyć się może w wielkiem mieście! Jest tu u nas na giełdzie faktor, jakiś „czarny młodzieńczyk.” Krzątał się razem z nami wszystkimi, żeby zarobić „trojaka.” To go przed dwoma tygodniami „utrafiło” nieszczęście, aby nie przyszło na żadnego Żyda; odumarła go żona. To Bóg mu zesłał jakąś wdowę z dziećmi, ale i z gotówką 120,000 rubli.

„Postawił z nią baldachim” (ożenił się) wczoraj dopiero, a gdybyś go dziś widziała, tobyś go nie poznała: „Wymyty,” wystrojony, jak dziewucha, nosi nowy kapelusz rękawiczki, je i pije, żyje, „jak Bóg w Odesie,” ma wszystko, czego pragnie, a czego mu brakuje? Bagatela, powiedzieć—„żona i 120 tysięcy rubli!!!...”

Niedawno człowiek z kantoru uciekł do Ameryki z 45,000 rubli i to właśnie w Sądny Dzień, jak to mówią: „jeżeli już się je wieprzowinę, niech przynajmniej kapie na brodę.”

XX.

List Żydówki.

...Boleść na ciebie wielka, zazdrościsz „czarnemu młodzieńczykowi,” że jego spotkało takie szczęście, niech go szlak spotka, został wdowcem, niech zostanie bez rąk i bez nóg, a z wielkiego

utrapienia po dwóch tygodniach wziął „grób,” cholera na niego z wdową, niech go weźmie dyabeł, ze 120 tysiącami, tyle wrzodów niech go obsiądzie; Panie świata, niech mu się zrobi coś takiego, żeby nawet nie wiedział, zkąd się do niego wzięło; Boże kochany, obyście wcale nie doczekali, wszyscy mężczyźni razem, powtórnego małżeństwa. Obyśmy was przeżyły jeszcze, Ojcze serdeczny, albo, broń Boże, zmarły nagle razem z wami. A dzieci zamiast mieć nad sobą macochę, niechby się lepiej nie rodziły, jak mówi mama, niech żyje: „Macocha to sekutnica, daje dzieciom kożuch od herbaty, a fusy od kawy.”

Wyobrażam sobie, jakby dzieci moje wyglądały, gdybyś ty, niedoczekanie twoje, został po mnie, broń Boże, wdowcem i wziąłbyś wdowę z tylu tysiącami, szlak niech ci wejdzie w kości! Być może, że ty czekasz tylko na to? To mówię ci, Mendlu, że chociaż jestem śmiertelnie chora, moje siły niech mają twoje wdowy jehupeckie, to jednak uczynić podług twojej woli i zostawić cię wdowcem, aby cię porwali tam, jak „czarnego młodzieńczyka,” niech mu będzie czarno i mroczno—nie, tego nikt nie dożyje!

Ale poco masz modlić się o moją śmierć, głupi „jeden?” Raczej oto zrobisz wielki interes, co tryska „wonną oliwą,” to złapiesz milion i bez wszystkiego już mnie porzucisz, oby cię rzuciło powyżej kamienic, Ojcze słodki, serdeczny, wierny! A jednak słyszysz, co ci powiem, Mendlu? Jesteś wielką powagą w Jehupecu, bo stoisz przecie u Brodzkich podedrzwiami i koło ciebie brzęczą miliony, ale bądź sobie taki wielki; miliony leżą tymczasowo u Brodzkich, nie u ciebie i może się skończyć na tem, że ziemia, z której tryska „wonna oliwa,” pryskać zacznie „wodą wodnistą,” a gdy dojdzie do

czego, skończy się na policzkowaniu, a kogo będą policzkowali?—ciebie!

Przeto ci radzę, żebyś się zawczasu wyrwał ztamtąd i powrócił do domu. Masz zapomnieć o tem, co było dotychczas, może cię kiedy dotknęłam wyrazem, jak mówi mama: „Lepszy policzek od przyjaciela, niżeli pocałunek od wroga" i przyjedź czemprędzej i „niech się już ciebie pozbędę."

S. S.

P. S. Mogę ci powiedzieć nowinę, jaka u nas zaszła, świat nią „dzwoni!" Znasz przecież Meira-Motla Mojszy Meira-Motla. To on ma córeczkę, Raclę, „cebulizowaną" mamzolę, „sypie francuszczyzną," „bębni na tapczanie," nie bywa u nikogo z nas, bagatela, pochodzi od rębaczów i rzeźników, jak mówi mama:

„Urodzenie dobre
Stanowisko chrobre."

Swatają jej partye z całego świata, a ona jeszcze przebiera; chce narzeczonego koniecznie ze wszystkiemi zaletami, żeby był i ładny i mądry i bogaty—„talerzyk z nieba!" Swaci pracowali „na wszystkich instrumentach" i sprowadzono dla niej narzeczonego, „antyk," jak mówią, „rajskie jabłko z Korfu," i to z małego miasteczka, z Owrucza! Zjechali się naturalnie do miasta Strżyszcza, na pół drogi leżącego między Mazepówką a Owruczem.

Wpuścili parę narzeczonych do osobnego pokoju, aby popatrzyli na siebie.

To ona odzywa się do niego:

— Co u was słychać o Drajfusie?

A on się pyta:

— Nie wiecie o jakim Drajfusie?

— O jakim Drajfusie?

— Nie, a czem handluje?...

Ona wyleciała zaraz z pokoju i padła zemdlona. A narzeczony musiał, niestety, ze wstydem odjechać z powrotem do Owrucza.

Plaga na niego, plaga na nią, plaga na oboje! Przez tego Drajfusa to u nas co sobota są kłótnie po bóżnicach i hałasy i policzki. Ten krzyczy: Drajfus, ów krzyczy: Ester-Rojza. Proszę cię, objaśnij mnie, przecie jesteś między ludźmi, kto to jest ten Drajfus i kto jest ta Ester-Rojza? Zapytałam ojca, to mama mówi: „Niechaj tak kozy wiedzą, kędy skoczyć do cudzych ogrodów, jak mężczyzni wiedzą, kto ich rodzi..." To ojciec zamilkł...

XXI.

List męża.

...Z Brodzkimi się rozszedłem, to znaczy, nie pokłóciliśmy się, broń Boże; ja do nich nic nie mam, oni do mnie także. Można prawie powiedzieć, że nie poznaliśmy się jeszcze, ale ja przestałem tam chodzić — i basta! Obrzydło mi to wystawanie na schodach.

Widocznie ludzie mają szczęście, tylko ja jeden nie mam łaski u Boga. Cóż mam robić, nie mogę być natrętem, włazić tamtemu w gardło, jak inni?!... A mimo to, małżonko moja droga, nie martw się wcale. Mamy wielkiego Boga, jedną ręką karze, drugą goi. Co mi tam Brodzcy, jeżeli ja już sięgam nawet do Rotszylda w Paryżu? Przez Kaukaz i naftę.

Miej regułę: gdy tylko jest nafta i Kaukaz — to zaraz obok Rotszyld. Wszelkie nafty, jakie są

na Kaukazie, należą do niego ‸a sam „siedzi” w Paryżu.

A zkąd ja się wziąłem do Paryża, do Rotszylda, jeżeli po francusku nie rozumiem i nie mam na koszty podróży? Mniejsza o mowę, to jeszcze błoto; to się mówi po niemiecku; niemiecki to taki język, którym można objechać świat cały; ale co do kosztów podróży, to „czyste” nieszczęście!

Co więc czyni Bóg? Wpadam na myśl taką. Jest u nas na giełdzie „ptak,” to się nazywa Todres. Był niegdyś wielkim spekulantem, gorącym, ognistym spekulantem.

Todres puścił się do Paryża i uprawia tam teraz największe interesy na miliony! Na moje szczęście przyjechał teraz do Jehupeca.

Nie leniłem się i poleciałem do niego do domu i bardzo delikatnie mu przedstawiłem, że zwęszyłem „miejscowostkę” na Kaukazie, która tryska naftą, a według tego, że każą sobie za to płacić dużo pieniędzy, wychodzi, że taki interes przystoi tylko na Paryż. To Todres się odzywa do mnie:

— Mam kupca!

— Kto jest tym kupcəm?

— Rotszyld!

— To wy się znacie z Rotszyldem?

— Czy ja znam się z Rotszyldem? To mi się podoba! Obyśmy oba to mieli w majątku, ile interesów z nim już załatwiłem i ile pieniędzy u niego zarobiłem!

— Czyście osobiście z nim rozmawiali?

— Wyście jakiś idyota! Co znaczy, czy z nim rozmawiałem? Tyle pryszczów żebyście mieli na nosie, ile razy siedziałem z nim stołek przy stołku, chodziłem z nim po ulicach i piłem u niego herbatę, jadłem wieczerzę, opowiadałem o tem, o owem, o naszej giełdzie i o naszych bogaczach.

— Cóż tam słychać u was—rzekł Rotszyld— w Jehupecu na giełdzie? Kto zarabia, kto traci, a na ile mniej więcej szacują u was Brodzkich.

— Szacujemy Brodzkich bardzo wysoko!

— Naprzykład, co u was się nazywa „wysoko?"

— Za 50 milionów to ja wam ręczę, a może jeszcze ze „smyczkiem" (z dodatkiem), ale jak mnie mocno poprosicie, to cała setka!

Gdy Rotszyld usłyszał te moje słowa, zaczął się śmiać, aż się jeszcze śmieje!

— Ot to—mówi—nazywa się u was „wysoko," cha, cha, cha?!...

— Teraz już rozumiecie—kończy Todres—jak jestem z Rotszyldem?

— Jeżeli tak, to nie można sobie życzyć lepiej, jak to się mówi: „Koszerny garnek i koszerna łyżka!" Możebyście napisali do Rotszylda liścik.

— Ale trzeba mieć opis i plan, inaczej nie można.

Przyniosłem opis, a Todres mówi:

— Uważajcie, reb Menachem Mendel, jako to jest „papier od Boga," dla innego nie uczyniłbym tego za żadne pieniądze, ale ponieważ jesteśmy starymi znajomymi, czynię to dla was i biorę interes, ale gdy, niech Bóg broni, pokaże się, że wasz opis jest nic nie wart, to przysięgam, że rozprawię się z wami ostro!

— Broń Boże, macie mnie widocznie za chłopczyka? Czy to nie rozumiem, że z Rotszyldem się nie igra? To święte wszystko, co tu „stoi" napisane, jak mamy dzisiaj „dzień trzeci" na całym świecie!...

Ny, jak ci się podoba, moja żono, jak to Menachem Mendel urządza z Boską pomocą interes

i to właśnie sam jeden? Bóg pochwalony niech tylko dopomoże, aby już nadeszła pomyślna odpowiedź od Rotszylda.

Gdybyś ty widziała, co się dzieje teraz w Jehupecu, jak „świat” odczuwa brak pieniędzy, poprostu się kona, umiera bez rubla! O pożyczce od ręki bez procentu niema co mówić. U nas w Jehupecu wypełnia się wszystkie przykazania Boskie, które nic nie kosztują; chodzi się na śluby, odwiedza chorych, odprowadza nieboszczyków, ale nie pożycza się pieniędzy. Oni mają jakąś „zasadę” taką: dobre słowa dają do woli, ale pieniędzy—nie, dziesięć razy: nie!

Mówią podobno, że wielcy kupcy, cukrownicy, bankierzy chodzą z przeproszeniem i gwiżdżą; co dzień oczekuje się wielkich bankructw, boją się rubla wypuścić z ręki! To ztąd wniosek łatwy: jeżeli wielcy tak się męczą, to cóż dopiero my mamy powiedzieć, drobne osóbki, gdy na stancyi upominają się o długi, a zegarek leży już dawno w lombardzie?

Ale nie martw się, moja żono, wszystko do czasu. Za nasze zmartwienia będziemy mieli, jak Bóg zechce, wielką uciechę, niech tylko nadejdzie pomyślna wiadomość z Paryża, to polecę na Padół do sklepu Weismana i „otworzę” sobie u niego kredyt na kilkaset rubli.

Pomyślę, jak Bóg zechce, i o sobie, i o tobie, i o dziecinach wszystkich, niech będą zdrowe.

M. M.

Wypytujesz się o Drajfusa, to bardzo ładna historya, akuratnie znam ją całą dokładnie ze wszelkiemi drobiazgami, zupełnie jakbym był przy tem obecny.

Nasłuchałem się wiele razy, jak opowiadali u nas w bóżnicy i na giełdzie. Taka była historya:

W Paryżu był Drajfus, kapitan, to znaczy, był kapitan, co się nazywał Drajfus, a Esterhazy był majorem. Major jest starszy od kapitana, a może przeciwnie kapitan jest starszy.

To on był, to jest Drajfus, Żydem, a Esterhazy major był chrześcijaninem. To on napisał *bordero*, to jest major Esterhazy napisał *bordero*, i całą winę zwalił na niego, na Drajfusa. To Drajfus chciał się wytłómaczyć, to go zasądzili, żeby „siedział” wiecznie na wyspie śród morza, sam jeden, zamknięty. To Zole „zrobił” gwałt, właśnie chrześcijanin i wykazał dowodami, że jakto? on wie napewno, że nie Drajfus pisał *bordero;* co macie do niego? To robota majora Esterhazego! To skazali jego, żeby także „siedział.” To on się rozmyślił, właśnie Zole i uciekł ze wszystkiem.

Piker, pułkownik, także zaczął krzyczeć i hałasować. To wyskoczył *Mersy*, właśnie jenerał i jeszcze jeden *Róże*, także jenerał i jeszcze wielu jenerałów i świadczyli fałszywie o Drajfusie.

To Esterhazy uciekł i napisał list z Londynu, że on właśnie sam z przeproszeniem napisał „bordero.” To powstał tumult między Francuzikami, żeby sprowadzono właśnie Drajfusa. To sprowadzono go do Ren na sąd, to przyjechał Labori, adwokat z Paryża, to go chcieli zastrzelić, to go zastrzelili z tyłu, to on zrobił z Mersy i ze wszystkich jenerałów błoto, a Drajfusa jednak skazano jeszcze raz, ale go zaraz wypuścili, to znaczy: winien, a przecież nie winien, jak to ktoś mówi: Winien to ty właśnie nie jesteś, ale chcemy powiedzieć, że jesteś, owszem, winien — i nazywaj nas „dziadkiem!...” Teraz już rozumiesz historyę z Drajfusem?

T. S.

XXII.

List Żydówki.

...Niedaleko ci do waryata, brak ci tylko jednej rzeczy—wziąć kij i latać po ulicach. Ale oby się już tak stało, toby cię odprowadzili do rabina lub, nie przymierzając, do „tatara” i byłby koniec, jak mama mówi: „Jesteś waryat, to daj się wiązać...”

Czyś ty słyszał, uciecha nielada: on tryska naftą, fruwa do Paryża, przerzuca miliony i zastawia kapotę! Porównywa siebie do bogaczów jehupeckich. Oni nie mają pieniędzy i on nie ma pieniędzy, jak mówi mama: „Jestem sobie także bydlę i zdycham w czeredzie.” Niemiec jakiś! Jehupeckich bogaczów „czarny rok” nie weźmie. Będą mieli pieniądze, to dobrze, jeżeli nie, to zbankrutują i zawsze będą mieli pieniądze. A ty napewno powrócisz do domu, jak Bóg zechce, bez butów. Obym lepiej wyrzekła kłamstwo, ale widzę według tego, jakich masz pięknych wspólników, że cię sprowadzą do domu albo w kajdanach, albo w prześcieradle, jak zasłużyłeś.

Wychudłam już i wycieńczałam ze zgryzoty, że wszystkie moje siostry dawno są już samodzielnemi gospodyniami, tylko ja jedna muszę być na utrzymaniu u rodziców z tyloma dziećmi, bez uroku, których nie bierze żaden zły duch, ani „rok czarny.”

Dopiero wczoraj „namyśla” się Mojsze-Herszele (to dziecko nie umrze swoją śmiercią!) i domaca się nożyczek i pocina mi jedwabną sukienkę szabasową na drobne kawałki. Ny, czy ma go nie spotkać śmierć nagła?

Wyobraź sobie, poczęstowałam go porządnie; myślałam, że już po nim. Co to za mędrzec! zeszłego tygodnia przychodzi do mnie Jentla, niech będzie odkupieniem, i zadaje mu pytanie:

— Mojsze-Herszele, co takiego pisze twój ojciec z Jehupeca?

To Mojsze-Herszele się „namyśla" i pokazuje jej „figę," ale zupełnie jak dorosły; miało to, mowię ci—„siódmy wdzięk!" Dobrze jej tak, niech nie ma zwyczaju wpychać wszędzie języka, jak mówi mama: „Gdy się *koczerę* nadepcze, to także uderza..."

A za twoje podarunki, Mendlu, które chcesz dla mnie nabrać u Weismana w kramie, dziękuję ci bardzo, niech mu Bóg dopomoże, aby miał dużo takiej klienteli, jak ty jesteś, to wtedy będzie ładnie wyglądał wśród kramarzy ze swym kredytem, akuratnie, jak ty wyglądasz ze swą rozmową niemiecką u Rotszylda i ze swymi wspólnikami, kłamcami, którzy zarabiają „mili-miliasy" i zdychają z braku grosza, aby dalej nie gorzej.

S. S.

P. S. Z historyi o Drajfusie, którą mi opisałeś, żebym tak wiedziała o tobie, jak zrozumiałam choć jedno słowo! W jaki sposób Żyd jest kapitanem i co to za gatunek *Bondero*, co jeden składa na drugiego? Dlaczego ten *Zole* „potrzebował" uciekać, a co to *Pikera* obchodzi, kto jest winien? I czemu szarlatan Esterhazy „kręcił językiem", naprzód tak, a potem siak? Co się miało do *Lamborego*, którego chcieli zastrzelić, i dlaczego znów z tyłu, a nie z przodu? I tak sobie, bez wszystkiego — nie rozumiem, co to za gatunek sądu u nich? I winien, i wypuszczony? Co to, zabawka dziecinna, komedya, „trejater?"

...Właśnie dobrze, iż sobie przypomniałam:

„trejater!" U nas są przecież teraz aktorzy żydowscy. Przyjechali z Berdyczowa — żeby taki rok mieli—i łają waryatów i wyłudzają pieniądze. Zeszłego tygodnia o mało nie mieliśmy nieszczęścia przez nich.

„Grać grają" u Kopla Meira-Dwosi w stajni. To tam się tłoczą wszystkie kucharki i wszyscy chłopcy od szewców, i subiekci sklepowi. A ponieważ wewnątrz „kosztuje pieniądze", wdrapują się na ściany, patrzą przez szpary. To ich ztamtąd odpędzają, to „towarzystwo" się „namyśla", i wspinają się wyżej, na sam szczyt dachu i tamtędy patrzą prosto na dół.

Nagle, wśród grania, odłamuje się krokiew i kawał dachu się zapada, i „towarzystwo" pospadać zaczyna, jeden za drugim, prosto na głowy. Powstał gwałt, tumult, hałas, krzyk:—Ratujcie! Pali się!...— Krótko mówiąc, chwila jeszcze, a cały świat, „Żydzi i kobiety", podusiłby się i podeptał.

Na szczęście, z wielkiego naporu zawaliła się ściana i tędy pouciekali zaledwie żywi, oprócz dwu kobiet, które poroniły, jedna w siódmym, druga w ósmym miesiącu, i jednej dziewczyny osiemnastoletniej, co niestety, oby się tu nie zdarzyło, ze strachu zwaryowała, a teraz śpiewa po całych dniach i nocach kawałki z „Sulamity" i „Golduni".

Dobrze im tak, niech się im nie zachciewa!...

XXIII.

List męża.

...Kaukaz mógł się zapaść w ziemię, zanim go poznałem! Zarżnął mnie bez noża, nie wolno

mi się wcale pokazywać na giełdzie. Z jednej strony Todres, z drugiej strony Isak — chcą mnie rozszarpać!

Wczoraj przychodzę na giełdę, to podchodzi ku mnie Todres i mówi:

— Słuchajcie-no, reb Żyd, gdzież to jest wasz Kaukaz?

— Kaukaz, to na Kaukazie, bo co?

— Otrzymałem odpowiedź z Paryża, właśnie od samego Rotszylda. Pono wysyła się człowieka dla obejrzenia interesu.

— Dzięki Bogu pochwalonemu, aby ten człowiek przybył już jak najprędzej. Spodoba mu się, jak Bóg zechce, napewno, i z Boską pomocą zarobimy na pewno pieniądze.

— Tak—mówi—wszystko jest „fajn", czy więc nie wiecie, gdzie to leży ten interes?

— Co znaczy, gdzie leży? Leży na Kaukazie.

— Tak, na Kaukazie. Kaukaz jest jednak dosyć duży, a u was w opisach nie „stoi" gdzie, na jakiem miejscu, czy pod Baku, czy pod Batum, czy pod Władykaukazem?

— Zapytajcie mnie o coś łatwiejszego, żebym tak nie wiedział o złem, razem z wami!

— Idyota! Jakto „Żyd" jest takiem koniskiem i przedstawia interes, nie wiedząc, gdzie jest?

— Co ja jestem winien? Mówili mnie, to ja mówiłem wam.

— Kto wam powiedział? Pokażcie mi tego, sprowadźcie go prędko, zaraz, bo oto zetrę was na proch!..

Puściłem się zaraz w drogę, poleciałem szukać „haweloku" i znalazłem go w „żydowskiej mleczarni", gdzie wszyscy Żydzi przesiadują, i wziąłem go zaraz na wypytki.

— Powiedzcie mi tylko „haweloku — serce”, gdzie to się znajduje nasz interes?

— Interes jest przecie u was, bo wy macie kupca!

— Nie o tem myślę. Myślę o samym interesie, gdzież on to tkwi, w jakich miejscowościach, kędy się dojeżdża, przez które miasto?

— Tego akuratnie nie wiem, to powinien wiedzieć mój wspólnik.

Tośmy poszli szukać wspólnika. Ale wspólnik mówi, że jemu mówił ten „z czerwonym nosem”, a „nos czerwony” mówi, że jemu mówił ten „z zegarkami”. We czterech więc puściliśmy się w pogoń za tym z „zegarkami”. A gdy Piernik z grubemi wargami widział, że my się spieszymy, myślał, że to napewno spieszymy już do rejenta zakończyć interes, a jego chcemy zapewne ominąć, to mnie złapał za poły i zrobił mi skandal...

Krótko mówiąc, musieliśmy go zabrać z sobą i już w pięciu pobiegliśmy do rudego faktora, co handluje zegarkami. To on mówi, że nie wie, co nam mówić; interes ma od Izaka, a Izak mówi, że nic nie wie. Słyszał, mówi, od tamtego faktora z grubemi wargami, że nos czerwony mówił, że „hawelok” ma interes na Kaukazie. Ale gdzie Kaukaz i co Kaukaz, nie wie, ażeby tak nie wiedział o niczem złem!

Krótko mówiąc, stanęło na tem, iż ja jestem całym winowajcą, bo gdybym im powiedział, że kupcem jest Todres, toby było zupełnie inne gadanie!...

Tymczasem dali mi znać, że Todres szuka mnie, chce zabić, to wziąłem nogi za pas i uciekłem i od wczoraj leżę na stancyi i kryję się przed Todresem i Izakiem, ponieważ mówiono mi, że Izak także chce mnie spoliczkować, nie wiem za co! Przynajmniej Todres ma pretensyę, nie będzie mógł pa-

trzeć Rotszyldowi prosto w oczy, ale Izak, co ten ma do mnie? Przeciwnie, chciałem jak najlepiej! Ale procesuj się z Panem świata!

Kiedy się nie ma szczęścia, to lepiej się pogrzebać żywcem! Do czegobądź się biorę, to pech i nieszczęście! Początkowo zdaje się wszystko dobrze i pięknie i „fajn"; wreszcie kółko się odwraca i kończy się na niczem! Nie dano mi widocznie, żebym uchwycił co grubego! Nie przeznaczone, żeby Menachem-Mendel „trzaskał", jak inni faktorzy w Jehupecu trzaskają!

Wszyscy trzaskają, tylko ja jeden stoję i patrzę, jak świat trzaska, robi interesy i zarabia pieniądze! No, czy nie może żółć pęknąć? Gwałtu, Panie świata, czy ja nie człowiek, jak inni? Czem ja gorszy naprzykład od Abramsohna? Zdaje się, uczyłem się także w „chederze", jak on, a jednak Abramsohn utrzymuje kantor na Mikołajewskiej; wszędzie, we wszystkich bankach go pełno; gdzie tylko jaki faktor, to łazi do Abramsohna; gdzie tylko jaki wielki interes, to go przynoszą do Abramsohna (Mówią podobno, że przeprowadza teraz kolej ztąd do Warszawy na akcye). A ja, Menachem-Mendel, muszę leżeć gdzieś w dziurze, jak w więzieniu, kryć się przed policzkami!

Mówię ci prawdę, odzwyczaiłem się już rzeczywiście od siedzenia na jednem miejscu, bo głowa mnie unosi tam do wielkich interesów na miliony, zwaryuję chyba, albo sobie „zrobię historyę!"

M. M.

P. S. „Utrapienie powszechne to pół pociechy". Gdy się widzi obce utrapienia, to trochę lżej na duszy.

Naprzykład gość, co stoi właśnie ze mną w jednej stancyi, jest niestety, taki nieszczęśliwy i bie-

dny, że ja w porównaniu jestem panem! Gdy się słyszy historye, jakie opowiada o sobie, trzeba być z żelaza, żeby nie tajeć z litości.

Był kiedyś bardzo wielkim bogaczem, miał własne domy w Berdyczowie i sklepy i wiele dobrego. „Być” był liwerantem i handlował do spółki z jakimś litwakiem, co nie zasługuje na pamięć. Litwak bratał się blizko z żoną liweranta i oboje doprowadzają go do tego, że podpisał „kwitki” na 30,000 rubli, a domy przepisał na imię żony. A ona wyrzuca go i litwak, niech jego imię będzie wytarte, zostaje właścicielem wszystkich interesów.

Liwerant nie ma grosza przy duszy, utrzymuje się tymczasem przy mnie. Jak Bóg zechce, wyprocesuje swe pieniądze, to mnie wynagrodzi jak najpiękniej...

I jeszcze jeden „stoi” ze mną razem, jeszcze większy biedak od tamtego. Jest „autorem” z małego miasteczka i nosi się z jakąś nową książką, która powinna, mówi, świat poruszyć, wywołać przewrót w świecie! On tłómaczy tam takie strofy w „Pieśni nad pieśniami” i „Eklezyaście”, których nikt dotąd nie rozumiał, oprócz niego, ponieważ wszyscy autorowie, mówi, są z przeproszeniem, bydlęta.

...Niechby tylko wydrukowali jego książkę, to więcej sobie nie życzy od Boga! Tymczasem obchodzi domy ze swą książką, a ponieważ w Jehupecu nie wiele sobie robią z książek żydowskich, to jeszcze nie zebrał nic pieniędzy, z wyjątkiem tego, że kilka osób przyrzekło, iż gdy książkę wydrukuje, to wtedy zobaczą... Utrzymuje się więc przy nas i z litości daje mu właścicielka niekiedy szklankę herbaty.

I jeszcze jeden przebywa u nas w zajeździe. Kim i czem jest, sam nie wiem: coś kawałek agen-

ta, kawałek swata, kawałek aktora, śpiewa piosnki i spędza myszy. Bardzo wesoły Żydek, goły, ale wesoły, nie ma koszuli na sobie i kona poprostu bez kawałka chleba! To go utrzymujemy, o ile to możliwe, — bo cóż robić? Słowem, tyle się człowiek napatrzy biedy na świecie, że się zapomina o własnej!...

T. S.

XXIV.

List Żydówki.

...Twoje szczęście, że leżę w łóżku i nie mogę do ciebie przyjechać. Jeszcze on ma takie trefne szczęście, że za każdym razem, gdy się wybieram w drogę, zachoruję, obyś ty już chorował za mnie także, mój klejnocie, moja korono z głowy! Założył tam kompanię ze wszystkimi włóczęgami, autorami, piosnkarzami, wypędzaczami myszy; czyta książki, psalmy, czego Mu nie dostaje: bólu głowy, czy bólu serca?

Ny, co ci mówiłam, ty obdarty głupcze!? Całować powinieneś moje słowa, jak mówi mama: „Całuj kańczug, co cię chłoszcze!" Mów, czy nie przepowiadałam ci, że taki będzie koniec, taki koniec niech mają wszyscy twoi jehupeccy dzielni ludzie, co trzaskają — oby już się strzaskali i trzeszczali, Panie świata! Nie zazdrość im, bo nie znasz jeszcze końca tego ich trzaskania! Mało u nas trzaskał Meir Eigeles? Pamiętasz te wesela i przyjęcia, jakie urządzał? Gdybyś popatrzył teraz na

niego i na jego dzieci, tobyś napewno żywcem się schował pod ziemię! A Mojsze Icie Peczeryce mało trzaskał na jarmarkach? A jego Ester Ita z wielkiemi perłami? Teraz on chodzi bez butów, a ona założyła sklepik pewnie za 30 rubli.

Ny, czy nie miałam słuszności, gdym wołała ciągle:

— Mendlu, uciekaj, póki żyjesz i nogi cię dźwigają!?

Masz jeszcze czas teraz to zrobić. A jeżeli nie, to niech tak mam wiele dobrego, jak przyjadę do ciebie, lub poślę mamę swoją, a ona cię już sprowadzi z pewnością. Ona się już dawno prosi, żeby jej dać pojechać po ciebie. Ona mówi:

— Nie szkodzi; jak potrzeba złodzieja, to się go zdejmuje z szubienicy...

Piszesz, że zwaryujesz, lub zrobisz sobie historyę? Jak to ci się podoba? Fe, wstydzić się możesz, „głęboko po szyję”. Masz żonę do 120 lat i dzieci drobne, niech urosną, i nosisz się z takiemi myślami głupiemi. Nie rozumiem: jeżeli jesteś niedołęga, gapa, co nie potrafi kotu ogona zawiązać, to przez to musi twoja żona, broń Boże, zostać wdową, a dzieci sierotami?

Widocznie - mówisz—nie przeznaczono ci wzbogacić się w Jehupecu, stać się milionerem? Czy ty wątpisz jeszcze, Mendlu? Bydlę, dawno ci piszę, ażebyś sobie wybił z głowy zupełnie te głupie myśli. Żebym tak już była zabezpieczona od wszelkiego złego, a ty od swej głupoty, jak jesteś zabezpieczony od milionów! Zapomnij lepiej o milionach, zapomnij, że jest gdzieś jakiś Brodzki na świecie, to będzie błogo tobie i twojej duszy!

Gdyby wszyscy Żydzi byli Brodzkimi, lub wszyscy Żydzi—Menachem-Mendlami, toby przecież świat nie mógł istnieć... „Nie patrzaj, co powyżej

ciebie, patrz, co poniżej"—tak, zdaje się, „stoi" napisane. I nie zazdrość jehupeckim osóbkom delikatnym, co trzaskają. Niech trzaskają, niech trzeszczą, niech biegają, niech skakają, niech fruwają, niech połamią „grzbiet i lędźwie", z tobą razem, niech się zapadną w ziemię, jak Korach, żeby po nich nie został szczątek najdrobniejszy w mgnieniu oka, amen, Panie świata, Boże kochany, Ojcze słodki, serdeczny, wierny.

S. S.

P. S. Czytasz „powieści i psalmy" żydowskie, to dla mnie mała pociecha.

Niedawno zaszła u nas taka historya, świat się tem trzęsie!

Lajwe Icchok Meir-Meszylema ma córkę Szpryncię. Była zdrowa dziewucha, żelazna, już nawet trochę przekwitła, ale udatna bardzo. To się do niej zabłąkał jakiś księgarz wędrowny, który obnosi po domach powieści. Szpryncla, niestety, dorwała się do tych powieści i przeczytała ich ze sto kawałków, i stała się, niech mnie się to nie zdarzy, jakby „pomieszana". Mówi jakimś językiem dziwnym. Powtarza jakieś słowa, których nie można zrozumieć. Mówi, że się nie nazywa Szpryncla, lecz „Lize Bete", i co chwila, co sekunda, oczekuje i wygląda tego, co ma zjawić się, którego nazywa „kochanym Adolfem". Ma ją wykradać przez okno; to ją pilnują... Ona może stanąć odwrócona twarzą do ściany i rozmawiać z sobą trzy godziny.

Wczoraj byłam u niej, siedziałam, rozmawiałam. Mówi, zdaje się, do rzeczy, jak człowiek; nagle zrywa się i śpiewa piosenkę (pamiętam każde słowo):

Miłości wciąż płonie
ach we mnie żar...

Twa talia, twa mina,
twój cały wdzięk!
Lecz chcąc twój podziwiać
niejeden dar,
Poczuwam ból w zębach
obydwóch szczęk!...

To coś naprzykład, jak „Sztram, gram, spraw mi stolnicę!”

— Bóg z tobą—mówię—Szpryncla, co ty wygadujesz?

— To przecież mówi on, Adolf kochany, do mnie, do mnie, jego anioła, jego skarbu, jego najukochańszej Elżbiety!!!

Ny, pytam ciebie, Mendlu, czy nie powinien mieć „gorzkiego końca” autor takich powieści.

Przesyłam ci tu kilka rubli na koszta podróży. Wzięłam u ojca, żeby mama nie wiedziała, i mówię ci *ostatni* raz: co było, przepadło. Już dosyć ci hulać, pluń na ten „pustynny”, mroczny Jehupec ze wszystkimi tamtejszymi kupcami, z ich milionami, z faktorami, co trzaskają; ze złotemi intesami, z kłamstwami i ze wszystkiemi ich szczęściami, z waryatami, włóczęgami, autorami, piosenkarzami, spędzaczami myszy. I przyjeżdżaj do swej żony i dzieci i do swego teścia i teściowej.

„Bądź człowiekiem, mówi mama, to będziesz jadł w kuczce”. I niech już ten liścik będzie „ostatnim” moim listem do ciebie—*amen Sela*.

SUBIEKT ŁÓDZKI.

Podług oryginału hebrajskiego

J. Wernikowskiego.

Jeden z pisarzy hebrajskich, Icchok Wiernikowski, wydrukował w *Hacefirze* warszawskiej rodzaj pamiętnika „Natana pisarza”.

Znaczną część pamiętnika autor poświęca stosunkom łódzkim, sferom subiektów handlowych, których zna zapewne z doświadczenia osobistego.

Wspomnienia te z bruku łódzkiego zainteresować mogą i powinny ogół szerszy, zwłaszcza Łodzian, stykających się często, a blizko z odpowiedniemi sferami. Jest to żywa ilustracya, jaskrawo uwydatniająca warunki życia i postępowanie pokaźnego odłamu kupców drobnych, subiektów, oraz faktorów żydowskich w Łodzi.

Poglądy krytyczne, tudzież niekorzystne miejscami opisy, nie podlegają wszakże zarzutowi stronniczości lub przesady umyślnej, gdy zważymy, że pierwszem ich źródłem jest pismo żydowskie, dla żydów wydawane. Pozostaje zatem jeden cel główny, jakim jest bliższe obeznanie się z bytem ludzi o języku odrębnym a niezrozumiałym, i wniknięcie w szczegóły, częstokroć wielce zajmujące, bytu tego, z którym wiążą się ustawicznie rozliczne interesy ogółu całego.

W streszczeniu tego pamiętnika uwzględniamy też jedynie rzeczy, Łodzi się tyczące, oraz sprawy, które się odgrywają na bruku grodu bawełnianego.

Subiektem łódzkim, bohaterem tego pamiętnika, jest wyrostek żydowski, Natan (po żydowsku Nusen), który pochodzi z małego miasteczka, sam się uczył wszystkiego, lecz nie nauczył niczego. W końcu zabrał się do nauki buchalteryi, udzielanej mu za opłatą listownie przez specyalistę z innego miasta.

Otrzymał patent z ukończenia kursu; nazwisko ucznia wydrukowano w gazecie hebrajskiej po rosyjsku w szeregu licznej młodzieży żydowskiej, która również kształciła się w ten sposób.

Uzyskawszy patent, pojechał do „ziemi obiecanej”, której na imię Łódź, po posadę. Tutaj postąpił wprawdzie nierozważnie, wręczywszy faktorowi, *reb* Chaskele, trzy ruble za samą obietnicę wyszukania posady; nie był to jednak krok fałszywy, gdyż nazajutrz, na umówionem miejscu zjawił się faktor, i kładąc rękę ciężką na ramię Nusena, odezwał się:

— Ty! Chodź, pójdziemy!

— Dokąd?—zapytał Nusen.

— Już ci pokażę. Ale uważaj dobrze — pogroził palcem, dotykając nosa sinego—pilnuj języka, kiedy będziesz mówił z kupcem-bogaczem, do którego cię prowadzę. Jedno słowo niewłaściwe, a stracisz wszystko, nawet to, co mnie dałeś, bo przecież ja robiłem, co mogłem. Wyszukałem posadę i naraiłem ci coś takiego, że w całej Łodzi niema nic lepszego. A jak będziesz głupi i stracisz, co ci dają, to twoja wina... Chodźmy, chodźmy!

Na uwagę Nusena, że to może coś nieodpowiedniego dla niego, faktor odrzekł prędko:

— Ale — posada! Mówię ci, poprostu, jakem Żyd, a Żydzi polscy są Żydami jeszcze,—że nie było dotąd tak dobrej posady. Na tej posadzie możesz urość do tysiączków... A oprócz tej wielkiej pensyi, posada taka bardzo się nadaje, żeby zrobić

dobrą partyę... Zapomniałem cię zapytać, czy chcesz, abym cię wyswatał? Ja i to potrafię, i do tej bramy mam klucze, ale to odłożymy na później. Chodźmy, chodźmy!

Po drodze wygadał się, że prowadzi go do „bogacza" Bekukina.

— Bogacz Bekukin?! — zdziwił się Nusen, — ależ on płaci bardzo wiele. Buchalterowi dawniejszemu płacił, o ile słyszałem, sto pięćdziesiąt rubli miesięcznie.

— Tak? to źle słyszałeś. Ten, co ci to opowiadał, dołożył z własnej kieszeni pięćdziesiąt rubli gotówką. Szkoda go.

— A gdyby nawet sto! Przecież ja szukam skromnej posady za jakie piętnaście lub dwadzieścia rubli miesięcznie.

— A więc nie chcesz? A co ci to szkodzi, jeżeli dadzą sto?—śmiał się faktor.

Nusen po tej uwadze faktora unosi się gniewem, łaje i wymyśla, będąc przekonany, że faktor prowadzi go umyślnie na miejsce nieodpowiednie, aby w ten sposób pozbyć się pretensyi klienta do 3-ch rubli, danych jako faktorne.

Ale *reb* Chaskele wyprowadza go z błędu, gdyż daje mu do zrozumienia, że o tamtych trzech rublach to już niema co mówić, bo tak czy siak, może je uważać za przepadłe. To więc, że teraz jednak go prowadzi i stara się dlań o posadę, jest z jego strony łaską oczywistą, wyjątkową.

— Tak, o czem to zacząłem mówić z tobą?— odzywa się potem jeszcze Chaskele. — O posadzie, zdaje mi się... tak, tak... O posadzie... Bogacz Bekukin, do którego cię prowadzę, nie przyjmuje nigdy człowieka z ulicy, tylko się na mnie spuszcza, bo to ja pracowałem dla ciebie. Mówiłem mu, że znam cię doskonale i nawskroś, jak „swoje dziesięć

palców". A bogacz Bekukin wszystko robi dla mnie. Chodźmy, chodźmy!

— Tu wejdź!—mówił potem faktor, gdy doszli do sklepu Bekukina,—ja tu poczekam, aż wyjdziesz z odpowiedzią. Ale ostrzegam cię jeszcze raz... Na Boga, uważaj, pilnuj się! Głównie bądź człowiekiem, powiedz mu, że umiesz dużo... On się nie zna na niczem... Głównie nie trać odwagi i nie wstydź się wobec tych tam ludzi... Wyjdź prędko.

Gdy się już Nusen oddalił od faktora, ten go jeszcze zawołał:

— „Ty, ty!" Jak się tam nazywasz! Jeszcze jedno zapomniałem ci powiedzieć — dodał cicho. — Moje imię... Głównie nie wymieniaj tam mojego imienia. Słyszałeś? Bo tem zepsujesz wszystko na nic... Ty, przeciwnie, jak cię tam zapytają „co, kto i jak?", udawaj, że nic nie wiesz... Słyszysz? Bądź człowiekiem... i nie wymieniaj mojego imienia... Ja się jeszcze z nim zobaczę... Ty tylko gadaj jedno, że znasz „dużo buchalteryi" i że chcesz bardzo, bardzo pracować w jego sklepie... Już tam potrafisz, no, idź...

Po takich wykrętach Nusen stracił ochotę rozmówienia się z Bekukinem. Oddalił się wprawdzie od faktora, ale nie miał odwagi wejść do sklepu. Po chwili więc wraca, gdyż usłyszał psykanie, „co w Łodzi jest znakiem, że się kogoś woła". Odwróciwszy się, ujrzał obok Chaskiela młodego człowieka. Zbliżył się do nich, a Chaskiele szepcze mu do ucha:

— Ten młody to najstarszy subiekt w sklepie Bekukina.

Do subiekta zaś się zwracając, powiada:

— Ale to bieda, on jeszcze surowy, nie wie, jak się obchodzić z ludźmi...

— Kto?

— On!

— Co za „on”?
— No, ten huchalter!
— To jest buchalter? — dziwił się subiekt — to buchalter — krzywił się, oglądając ze wszystkich stron postać Nusena.
Nusen miał rzeczywiście poszarpane i wyszarzane palto, buty podarte i pełne błota ze wszystkich ulic łódzkich, krawatu zapomniał w domu przez pośpiech, ręce nie bardzo były czysto umyte, tylko podartych nogawic nie było widać, bo je zakrywało palto.
— To jest buchalter? — pytał subiekt po raz trzeci Chaskiela, reszty cicho dokończając. Ale Chaskiele wybuchnął:
— Głupiś, co to szkodzi? Czy kto chce go na zięcia? A ty, synu drogi, uderz się w czoło i przypomnij sobie ubranie, jakie nosiłeś, wstępując do tego sklepu.
— Ale buchalter to zupełnie co innego — wybełkotał subiekt, którego Chaskiel nazwał „Jojne”, mówiąc:
— Głupstwo! Ty sam usłyszysz, co powie o tem bogacz Bekukin... Podług mnie, to przeciwnie, owszem, stokroć lepiej dla sklepu i subiektów. Taki „bucher” (młodzieniec) ma skromne wymagania. Gdy się mu daje zajęcie, to siedzi i pracuje, nie spaceruje po ulicach, jak inni buchalterzy, i nie stara się imponować drugim subiektom... Głównie, Jojne, słuchaj i uważaj na to, co *ja* mówię. Już ja tam napewno wiem, co robię...
— Ale Bekukina niema teraz w sklepie. Wyszedł i nie wróci już dzisiaj.
— O, masz tobie, za tyle gadania — rozgniewał się faktor.
— Mówiłem mu przez całą drogę: chodźmy, chodźmy prędko, prędko. A ten gadu, gadu i wypytuje się ciągle. Teraz musisz przyjść jutro, ale

mnie to już nic nie obchodzi. Przyjdziesz jutro, to skończysz.

I temi słowy zakończył rozmowę i odszedł bez pożegnania. Nusen pozostał bezradny i w tem przykrem położeniu zwrócił się do subiekta, nader ugrzeczniony, ze słowami:

— Szanowny panie!

Jojnego taki tytuł wbił w ambicyę.

— Powiedz mi pan prawdę—prosił dalej Nusen, — czy ten podły faktor nie drwi ze mnie. Wziął odemnie ostatnie trzy ruble i przyrzekł dać mi posadę. A teraz zdaje mi się, że to wszystko fałsz i oszukaństwo.

— Ten faktor to mój ojciec! — mówił Jojne, rumieniąc się.

Nusen o mało nie stracił przytomności.

— To mój ojciec — powtórzył Jojne — on cię nie oszukał, jeżeli znasz tylko buchalteryę.

Nusen pokazał mu patent.

— Tak—mówił Jojne wesoło—to możesz być najpewniejszy, że otrzymasz tę posadę. Idź do domu, a jutro rano umyj się, oczyść palto, włóż krawat i przyjdź o dziesiątej do kantoru, to się rozmówisz.

— A może pan pomówi kilka słów o mnie?— prosił Nusen.

— E, nie, przyjacielu. Tego nie mogę. Jak ja będę mówił, to popsuję wszystko, bo pryncypał zrozumie..., to jest, chciałem powiedzieć, pomyśli, że ja mam w tem swój interes. Ja muszę milczeć, ale pocichu cię będę uczył, jak już wiem, co masz robić, aby się przypodobać pryncypałowi i synowi. Możesz tylko wiedzieć, że bardziej, aniżeli ty chcesz mieć tę posadę, ja chcę, żebyś ją otrzymał; ty, lub taki, do ciebie podobny. Teraz, naturalnie, nie możesz mnie zrozumieć, ale na to czas jeszcze...

W domu Nusen powiedział:

— Winszujcie mi... *Mazel-tow* (losu dobrego). Mam posadę u Bekukina.

Wiadomość wywarła silne wrażenie, bo... „bogacz Bekukin płaci dobrze ludziom”. Winszowano więc ze wszech stron Nusenowi „dobrego losu” — *Mazel-tow*.

I było czego winszować, bo Bekukin, po licznych tarapatach, o których poniżej, przyjął do grona swych współpracowników Nusena. Irytowało go jednak strasznie to, że pryncypał nazywa go „chłopcem”. Nielepiej się z nim obchodził syn właściciela, nazywając go „bucherem”.

Subiekt Jojne cieszył się bardzo z przyjęcia Nusena do sklepu, ale nazywał go także tylko „pisarzem”, a nie buchalterem. Bekukin rozpowiadał wszystkim kundmanom:

— Nie wezmę już wcale buchaltera, a jak Bóg da mi sił i zdrowia, wystarczy mi „chłopiec”. Wszystkim przyjaciołom radzę dobrze i szczerze zrobić, jak ja... Niech nas Bóg broni od buchalterów! Żeby ich nie znał żaden „Żyd dobry”! Buchalterzy nic nie robią, a wiedzą tylko, że się co miesiąc żąda podwyżki. Nienasyceni... I oni jeszcze, bierz ich licho, są zawsze górą, bo może w końcu chcesz, broń Boże, zrozumieć co w ich księgach, wiedzieć naprzykład rezultat ostatni: ileś ty komu winien, a ile kto tobie, to ani rusz. Oni potrafią tylko wąs zakręcić do góry, darmozjady! Patrzcie! Teraz zrobiłem dobrze: wziąłem sobie dobrego chłopca, który nie zdążył się jeszcze zepsuć wśród „bachorów” łódzkich i siedzi cały dzień na miejscu i robi wszystko, co mu każą... Tymczasem nie żądam od niego nic więcej, a jak się z pomocą Boską wyrobi i nie popsuje, to mam nadzieję, że wyjdzie na człowieka.

Nusena to lekceważenie go gniewało ogromnie, wiedział bowiem, że pryncypał go wyzyskuje

w ten sposób niemożliwie, choć on zastępuje miejsce dawniejszego buchaltera, który brał rzeczywiście sto rubli miesięcznie.

A oto jak się odbyło zaangażowanie Nusena przez Bekukina:

Nazajutrz po rozstaniu się z faktorem, udał się o wpół do dziesiątej rano do sklepu. Zastał tu Jojnę, leżącego z papierosem w ustach na pakach towarów; dwóch chłopców 13-letnich, którzy się brali za łby, wyrywali włosy i kopali zawzięcie, i jeszcze jednego 40-letniego subiekta, który leżał na ławce pod oknem i czytał *Hacefirę*.

Jojne udawał, że go nie zna, i kazał poczekać na pryncypała, który nadejdzie zaraz. Po chwili jeden z chłopców zawołał: „idzie"! Subiekt 40-letni zeskoczył z ławki i zaczął przerzucać z miejsca na miejsce paczki towarów. Jojne zagasił papierosa i zabrał się do pakowania towarów sznurami. Jeden z chłopców wziął miotłę w rękę, wymachując nią po podłodze; drugi zbierał worki i rogoże.

Przez ten czas, chcąc okazać swą gorliwość w pracy, stary subiekt cisnął pakę w głowę Nusena, zrzucając mu kapelusz; Jojne opuścił na nogę przybysza drugą pakę towarów, a chłopiec, sklep zamiatający, obrzucił go błotem i śmieciami, wołając:

— Na bok, na bok, panie młody!

Wreszcie ukazał się we drzwiach pryncypał. Był to człowiek 60-letni, wysoki, dobrze zbudowany, miał włos siwy, brodę nieco rudą, ubrany był w długą kapotę rudą, pełną plam czarnych; pod nią nosił parę spodni białych, które tkwiły w butach o wysokich i szerokich cholewach; „*tałes* mały", który wbrew swej nazwie był duży i szeroki, a długie jego sznurki, *cyces* zwane, wlokły się po

ziemi prawie. Na głowie nosił jarmułkę zatłuszczoną.

Wracał teraz z bóżnicy, mieszczącej się w domu, przyległym do sklepu.

— *Git morgen!* (dzień dobry) — zawołał tonem pytającym pryncypał, głowę do góry zadzierając.

Parę chwil stał cicho, poczem się odezwał:

— Godzina, dzięki Bogu, już dziesiąta i jeszcze pokój nie zamieciony?! Od dwóch dni szykujecie paki towaru do zwrotu fabryce i jeszcze robota nie skończona? A towar! — zaczął jeszcze głośniej, przytupując nogami,—od dwóch tygodni towary leżą bez porządku, rozrzucone po kątach, i wyście tego jeszcze nie uprzątnęli?! O takiej zbrodni nie słyszano, póki świat istnieje! Zbrodniarze! Co robicie, niech was dyabeł porwie cały dzień? Co?!

Subiekt 40-letni, Jojne, zamiatacz i zbierający rogoże robili swoje, jakby to nie o nich była mowa. Byli przyzwyczajeni do scen takich.

— A co ty robisz tutaj? Czekaj no trochę, kto ty jesteś? Zdaje mi się, znajomy chłopiec... Czy to nie subiekt Pimsenholca? — zwrócił się z zapytaniem nawpół do Nusena, a nawpół do subiektów.

Ci nic nie odrzekli.

Nusen zaczął recytować przemowę, którą sobie powtarzał przedtem wielokrotnie.

— Słyszałem, że pan szuka buchaltera... i dlatego...

Tu się jednak zmieszał i zapomniał dalszej treści, z góry ułożonej... Pryncypał wszakże machnął ręką, dając znać, że rozumie o co idzie. Zlekka się uśmiechając, zapytał:

— A ile chcesz pensyi?

— Popracuję tutaj z tydzień, dwa—wziął się na sposób Nusen,—po co mówić o tem, co będzie?

Może się panu nie spodobam, to poco mówić daremnie? Mam nadzieję, że, jak się panu przydam na coś, to mnie pan nie skrzywdzisz.

— Nie, nie, nie!—odrzekł prędko,—nienawidzę stanowczo takich słów i zwyczajów. Całe życie lubię mówić z „człowiekiem” jasno i wyraźnie. Jak Jakób mówił z Labanem: „Za Rachelę, twoją córkę, tę młodszą”. Masz wprawdzie racyę, że bardzo być może, iż będziesz do niczego, ale o to ty się nie troszcz, to już moja rzecz... W takim razie „będzie zupełnie inna historya” i już będę wiedział co robić. Dzięki Bogu, jestem już kupcem przeszło 40 lat i mam dużo doświadczenia. A ty, chłopiec, myślisz naprawdę, że to dosyć trzy lub cztery tygodnie, a nawet miesięce, *zmany* (półrocza) i lata, aby poznać „człowieka”, czy dobry, czy nie? Che, che, che! Trzy i cztery lata, jakem Żyd, nie starczą. Znam (obym tutaj nie znał) wielu takich buchalterów i subiektów, co przez całe lata mieli poważne posady, pracowali uczciwie, a w końcu przeskrobali!.. Więc wychodzi, że to byli darmozjady, że umowa z nimi była mylną, i *bal-bues* (pryncypał) może ich odprawić każdej chwili.

— Nie!—wtrącił się subiekt 40-letni, — przepraszam pryncypała, ale się pan mylisz, nie takie jest prawo... W całem Królestwie Polskiem musi *bal-bues*, który nie chce trzymać swego *mszuresa* (subiekta), wymówić mu na trzy miesiące z góry, żeby „człowiek” mógł tymczasem szukać innej posady... Inaczej toby „ludzie” wcale żyć nie mogli...

— Ale kto do ciebie mówi?! Kto się ciebie pyta? Cóż ty rozdziawiasz swoją oślą gębę?! — krzyknął nań Bekukin.—Idź do roboty.

— Nowe prawa chce zaprowadzić — mruczał jeszcze parę razy subiekt, zabrawszy się do roboty, — nowe prawa...

— Ale po co tu mamy rozprawiać długo? —

dodał „stary", — pytałem się, ile będziesz chciał pensyi?

— Dwadzieścia rubli miesięcznie — odpowiedział Nusen głosem niepewnym.

— Chi, chi! — śmiał się stary — chi, chi! czyś tyle wart? Chi, chi!...

— No, to może lepiej przyjąć mnie, a potem zobaczyć?—mówił Nusen.

— Zobaczyć... Czy kto słyszał takie dzieciństwo? Mój synu, co ja zobaczę? Czy to nie widzę, broń Boże? Dzięki Bogu, dobrze widzę, potrafię oglądać „człowieka." Spróbuj i pokaż mi jakiegobądź „człowieka", to ci natychmiast ocenię jego wartość. Opowiem ci prostą rzecz: przed kilku laty, kiedy przyjąłem Jojnę do sklepu...

Jojne, słysząc swe imię z ust pryncypała, zbliżył się i wytrzeszczył oczy na Bekukina. Ten jednak opowiadał dalej:

— Wszyscy mówili, że ten chłopiec to zbój! Dyabeł siedzi w nim, on wywraca wszystko i t. d. i t. d., ale ja jedno mówiłem i jeszcze teraz mówię, że to leniwiec..

Jojne, jakby na potwierdzenie tego, ziewnął głośno i długo, i przeciągając się, zabrał napowrót do roboty. A Bekukin mówił dalej:

— Był i będzie leniwy do śmierci. I taki jest zawsze, jak go teraz widzisz. Cały dzień ledwo się rusza. Kiedy siedzi w sklepie, to wciąż ziewa i nic nie robi. Ale on jest tylko leniwy, kiedy ma pracować dla pryncypała. Kiedy zaś dla siebie coś robi, to ta „osoba" staje się innym człowiekiem. Żebyś ty widział, jaki on jest pilny i gorliwy, kiedy ma coś zarobić... Jak on zbiera prowizyę od żywych i umarłych, dobrowolną i wymuszoną... Tacy to wszyscy leniwcy, oni się tylko lenią przy pracy dla pana, który ich utrzymuje, daje chleb, ale dla własnej korzyści, dla własnego zarobku... Niech pamięć o nich zaginie!—klął, wzdychając.—I dlate-

go mówiłem ci i mówię teraz: jakem cię tylko widział, oceniłem cię nie więcej, jak na dwanaście rubli miesięcznie, to jest, nie wart jesteś i tyle, bo, bądź co bądź, jesteś jeszcze chłopcem i nic nie umiesz, ale jesteś tu obcy i nie masz nikogo, coby cię utrzymywał, to przez to, gdy cię biorę do mojego sklepu, to daję ci na utrzymanie, może później na to zasłużysz.

Nusen ucieszył się i z tej pensyi, chciał nawet dowieść Bekukinowi, że owszem zasługuje na nią bezwarunkowo, ale prędko mu się wyrwał z ust okrzyk radosny:

— Niech będzie!

— Ale poczekaj-no trochę, nie śpiesz się — mówił dalej stary, siadając na krześle — o najważniejszem zapomniałem, zapomniałem spytać się, kto ty jesteś. Prawda, że jakoś wyglądasz na uczciwego chłopca, poznaję to po twarzy, ale uważać trzeba, i to jeszcze w obecnych czasach...

Nusen wyjął z kieszeni kilka listów polecających, pisanych przez rabinów na dowód, że pochodzi z porządnej familii i że się sprawował dobrze.

— Dobrze, dobrze — mówił stary, przeczytawszy wszystkie listy rabinowskie.

— A co ty umiesz? W jakim interesie pracowałeś?

Zamiast odpowiedzi, Nusen wydobył świadectwo nauczyciela buchalteryi i wręczył je Bekukinowi, sądząc, że mu niem zaimponuje więcej, niż świadectwem największego kupca. Stało się jednak przeciwnie. Bekukin, ujrzawszy świadectwo buchalteryjne, odezwał się tonem rezygnacyi:

— Tak, to muszę ci z góry powiedzieć, że nic nie umiesz, ale to nic poprostu, jak słyszysz. Wiedz, mój synu, że te papiery nietylko nie są nic warte, ale przeciwnie. Chcesz, to mogę ci opowiedzieć zdarzenie, jakie ja sam miałem: Przed dwoma laty,

kiedy mój buchalter zachorował i nie mógł wychodzić z domu, namyśliłem się i zacząłem szukać innego buchaltera. Trafił mi się wtedy jakiś młody człowiek z miedzianemi guzikami, który przyniósł z sobą, jeżeli mnie pamięć nie myli, ze sto świadectw, że skończył napewno osiemnaście gimnazyów.

— Mój mądry syn, co ciągle krzyczy i woła, że niema rzeczy, której gimnaziści nie znają, cieszył się z tej drogiej „mecyi" (nabytku), jakby ze zdobyczy wielkiej; pośpieszył się i wyznaczył mu prędko dobrą pensyę, powierzył mu wszystkie księgi i wszystko już było niby to załatwione, ale nie było jeszcze mojego zezwolenia, bo przedewszystkiem trzeba ci wiedzieć, że ja jestem panem sklepu, ja, a nikt inny, a bezemnie nikomu tu rządzić nie wolno... Krótko mówiąc, nic o tem gadać nie chciałem. Kiedy sprawa do mnie doszła (a ja, Bogu dziękować, znam się na rzeczy), mówiłem zaraz: Nie drżyj tak, potrawa nie stoi na ulicy, nie ostygnie; trzeba naprzód go próbować, zapoznać."

— Mówię ci zaprawdę, ja jestem prosty Żyd, bez mędrkowań zbytecznych, a jednak przeszło trzydzieści lat prowadziłem sam rachunki, nikt się do nich nie wtrącał. Zamiast wszystkich ksiąg licznych i wielkich, jakie tu widzisz, miałem tylko jednę książkę małą, którą nosiłem w kieszeni, a w tej książce były spisane wszystkie moje rachunki. Mogłem każdej chwili pokazywać kupcom, z którymi miałem interesy, stan swych rachunków i mówić im: oto tak rzecz wygląda. Co do zarobków, mówię ci w zaufaniu: Panie świata, gdybym teraz miał choć dziesiątą część tego. Wszystko, co widzisz u mnie, pieniądze, czy towary, czy nieruchomości, zostało z tamtych czasów.

Teraz się cofam, co rok dokładam pieniędzy... Ale to nadaremno, ja czasu nie przerobię. Powsta-

ło nowe pokolenie, zwyczaje nowe i świat nowy... Nasze dzieci, to nowe pokolenie; one rządzą, robią, co im się podoba, a my, starzy, z dawnego pokolenia, musimy oczy zamykać i chodzić za niemi. Jak mówią: kantory, musimy robić kantory! Księgi handlowe duże, szerokie i grube, i liczne bez końca — wszystko, wszystko jest, jak oni chcą. Ale że dwa razy dwa czyni cztery, tego nie zmieni sam „Nasy" (książę żydowski) z Babilonu. To musisz sam przyznać! Teraz słuchaj, jaką zrobiłem próbę i, dzięki Bogu, w tej chwili się przekonałem, że gimnazista nie ma najmniejszego pojęcia o sklepie.

Wziąłem sztukę towaru, mającą 60 łokci, i proszę go, żeby mi mówił natychmiast, bez wielkiego namysłu, ile kosztuje ta sztuka, licząc po 15 kopiejek za łokieć. Ale on, zamiast odpowiedzi natychmiastowej, jakiej ja sobie życzyłem, bierze kawałek papieru, macza pióro w atramencie, stawia liczbę 60, pod nią 15 i zaczyna się „*a kajful*" (mnożenie).

— A to dziki człowiek! — zawołałem, bo już patrzeć nie mogłem na to. — Dziecka przy piersi pytaj, to ci powie, że 60 złotych to 9 rubli; a wszystkiemu winne te papiery, świadectwa — skończył stary.

Nusen chciał mu odpowiedzieć, wykazać, że nie ma racyi, ale stary machnął ręką na znak, że nie chce słyszeć więcej.

— Zresztą—mówił stary—na co mi twoja buchalterya? Czy wezmę buchaltera, czy nie, to ci wszystko jedno. Ciebie potrzebuję nie na buchaltera, tylko... no, widzę przecie, że pisać umiesz przynajmniej i będziesz zapewne słuchał i robił, co ci każę...

— *Duwed!* (Dawid) Przyjąłem chłopca do sklepu—przywitał stary syna, który nadszedł wśród rozmowy ojca z Nusenem.

Stary wyszedł.

— Jeszcze nowego chłopca?! *Panie świata!* Cóż *on* tu nazbiera tych chłopców, czy chce *cheder* założyć? — mówił Duwed do siebie, wzruszając ramionami.—Mało tych dwóch chłopców dawniejszych, co próżnują po całych dniach i kłócą się tylko...

— Jojne! — zawołał Duwed, zwracając się do niego — idźno, zawołaj buchaltera od Apelbauma. Trzeba pisać kilka listów. List do Petersburga bardzo jest pilny. Ten *urł* (chrześcijanin) tam nie zadawala się notatką. Jak go nie obsypiesz tysiącami listów, to nie wyśle ani jednej sztuki towaru. Prócz tego, trzeba mu pisać o zwrotach, jakie mamy dla niego, o cenach... Wszyscy kupcy, bierz ich licho, sprzedają jego towar za pół darmo... Trzeba mu bardzo dużo pisać, ale to *zła choroba*, kiedy wielki handel nie ma buchaltera! Muszę opowiadać o wszystkiem obcemu człowiekowi, którego nie znam prawie, a przytem Apelbaum się dowiaduje, co się u mnie dzieje. „Żebym tak żył”, że nie wiem, co *ten stary* sobie myśli — zaczął coraz głośniej — tylko chłopców, chłopców tu zbiera; serce mi pęka na widok takich porządków...

— Panie Bekukin — podszedł Nusen nieśmiało—może mi pan powie, o co idzie, to napiszę.

— Trzeba pisać po rosyjsku — odparł Duwed gniewnie.

— Wiem o tem i dlatego chciałem panu służyć.

— Czy ty umiesz pisać takie listy?

— Tak.

— No, to pisz!—odrzekł Duwed radośnie.

Zaczął mu też zaraz wykładać wszystkie swe pretensye do „urła”, fabrykanta w Petersburgu.

Nusen napisał wybornie, starając się również o ładny charakter pisma.

— Pyszny list!—zawołał subiekt 40-letni, rzucając spojrzenie na papier.

-- *Tate!* — wołał Duwed do starego, który wszedł oglądać cud natury.

Zawołano też sąsiada, „Niemca” żydowskiego, który poświadczył, że list jest pisany „z gramatyką.”

— I co tu dziwnego—odezwał się stary Bekukin—mówiłem przecież. Wiem, dzięki Bogu, co robię. Jeżeli przyjąłem jeszcze jednego chłopca do sklepu, to nie bez przyczyny. Spojrzałem tylko na niego, to widziałem, że będzie z czasem człowiekiem i dla mnie pożytecznym, ale to „z czasem”, a teraz to nic nie wart, jest jeszcze całkiem surowy...

— A z listów poprzedniego buchaltera śmieli się wszyscy; mówili, że są pełne błędów, że to jakiś żargon niezrozumiały — wołał Jojne z uciechą, widząc, że teraz jest pora coś zacząć.

— Ny, ny, ny... śmieli się—odezwał się Bekukin, któremu wtórował syn zarazem — śmieli się! Mogli się śmiać, ile im się podobało, a jednak ja mówię: aby on był takim przynajmniej po 20 latach... Listy buchaltera z błędami, a listy chłopca bez błędów to jeszcze nie są sobie równe... Dotychczas nie zdarzyło się, aby na listy buchaltera nie nadeszła odpowiedź... A co mnie więcej obchodzi? Czy to nam gramatyka potrzebna?.. A co będzie z listami chłopca, to jeszcze nie wiadomo...

Tegoż dnia udało się Nusenowi zadziwić raz jeszcze pryncypała swemi umiejętnościami niepowszedniemi.

Po południu, kiedy wszyscy byli w sklepie, wszedł subiekt, chrześcijanin, z fabryki Pakissohna i przyniósł wiadomość, że przyszło do nich kilku kupców, którzy wybrali towar na rachunek Bekuki-

na. Fabryka więc pyta teraz, czy Bekukin zechce wziąć na siebie odpowiedzialność za kupców.

Subiekt stał i czekał na krótką odpowiedź: tak, czy nie. Ale Bekukin młody zaczął tę sprawę rozpatrywać wszechstronnie, myśląc i zastanawiając się nad wszelkiemi jej szczegółami.

Przedewszystkiem Bekukin chciał ograniczyć sumę pieniężną, do której dojść może wartość towaru, wydawanego na jego rachunek kupcom. Dalej — trudno wyznaczyć jednę sumę dla wszystkich kupców; każdy musi mieć swoje *maximum* kredytu, odpowiednio do zamożności. A i w samem ograniczeniu sumy zachodzi znaczna różnica, czy kupiec bierze towary wełniane, czy płócienne, czy kretonowe.

Przy tych ostatnich trzeba zupełnie inną ustanowić granicę. I to wielka różnica. Na towarach bowiem wełnianych i płóciennych zarabia się bardzo dużo, na kretonach za to nader mało. A gdy na czem dużo zarabia, to Bekukin nie jest taki drobiazgowy w stosunku z kupcami, daje im często kredyt o wiele większy, niż na to zasługują. Ale gdy na czem niewiele zarabia, to Bekukin nie chce wejść ze zdrową głową do chorego łóżka...

Po za tem jest jeszcze różnica, czy kupiec daje „długi" weksel, czy krótki. Przy wekslach z długim terminem ryzykuje się o wiele więcej, niż przy— krótkim. Jeszcze mnóstwo innych pytań i obaw ciśnie się do głowy Bekukina, ale co on tu poradzi? Takich rzeczy nie powtarza się „urłowi" (chrześcijaninowi), którego mózg nie jest wcale zdolny do ich pojmowania.

— Jojne! Gdzie Jojne, gdzież Jojne? Dokąd poszedł? Gdzie się zapodział? — woła Duwed, latając po pokoju.

Chciał posłać Jojnego, ażeby to wszystko wytłómaczył ustnie, ale Jojnego nie było.

— Może ja mu to napiszę?—zapytał Nusen.

— Do Pakissohna będzie pisał?—ofuknął Duwed—on myśli, że do wszystkich pisze się po rosyjsku. Pakissohn i wszyscy jego subiekci to *skończeni* Niemcy...

— To do nich napiszę po niemiecku.

— Po niemiecku? Naprawdę? Ty umiesz? Pisz, zobaczymy!

Nusen ułożył odpowiedni list niemiecki. Chciał potem odczytać wszystko na głos Bekukinowi, ale ten nie chciał słuchać.

— Nie potrzeba — mówił, wręczając list subiektowi „urłowi" — za chwilę przekonamy się, coś tu napisał.

Po godzinie wrócił subiekt chrześcijański ze specyfikacyą, wymieniającą dokładnie towary, jakie kupcy wzięli na rachunek Bekukina. Młody Bekukin porwał się z miejsca, przejrzał rachunek i stwierdził, że wszystko jest w porządku, zupełnie jak sobie życzył w liście.

Bekukinowie podziwiali poprostu Nusena.

— On będzie z czasem człowiekiem — mówił stary, klepiąc go po ramieniu.

— A ile mu płacisz?—pytał syn.

— Dwanaście rubli miesięcznie.., Cóż ty myślisz, że darmo u mnie pracuje?...

— Tak, tymczasem dwanaście, a jak nam później będzie pożyteczny...—zaczął młody.

— Oby nam był pożyteczny!—przerwał stary, gniewnie spoglądając na syna.—Jego listy rosyjskie i niemieckie nie zbawią mnie jeszcze. Ja wogóle potrzebuję raz lub dwa razy do roku listów takich!... Po hebrajsku, po żydowsku gdyby umiał! Gdyby umiał pisać listy żydowskie, jak ja myślę,

toby mi naprawdę ulżył bardzo w ciężkiej pracy, ale to niemożliwe...

Nusen, słysząc to, chciał odrazu potwierdzić, że umie bardzo dobrze pisać po hebrajsku, bo nawet kilkakrotnie pisywał w hebrajskiej gazecie *Hamelic* o łaźni żydowskiej, *mykwie*, w miasteczku, gdzie mieszkał i t. p. Obliczył się jednak, że lepiej będzie nie wyjeżdżać z tem teraz, nie przeszkadzać im w rozmowie, tylko czekać sposobności...

— Jednak — zaczął syn powoli — nie możesz wiedzieć... Może on umie pisać także po hebrajsku... Jak widać, jest to taki *„myszlem"* (erudyta), co zna dużo języków... spróbuj go... może...

— Bydlę jakieś — burczał ojciec — po co go próbować? czy to ja nie widzę?

— Ale „żebym tak żył", że jakiś dziwny człowiek jesteś — odpowiedział syn—co stracisz, jak go będziesz próbował?! Daj, to ja go spróbuję, tylko powiedz mi, do kogo trzeba pisać?

— Do *reb Welwuł*—zawołał Jojne.

— *Gojlom!* (bałwan) — ofuknął go stary, zatapiając się we własnych myślach.

— Do *reb Tanchem*—zawołał 40-letni, którego Bekukin nazywał *Jerychem*.

— Osły! zostawcie mnie, przeszkadzacie mi tylko.

— Tate! I dlaczego nie do *reb* Tanchema i *reb* Welwuła?—zapytał syn.

— I ty gadasz głupstwa. Do pierwszego pisałem wczoraj list taki, że, zdaje mi się, jak go będzie czytał, to febra nim zatrzęsie. A do drugiego nie będę już pisał ani jednego słowa. Poczekam jeszcze do środy, a jak nie otrzymam odpowiedzi, to natychmiast oddam sprawę panu Szwarcowi... Ten już wyssie zeń krew ze szpikiem razem... Przecież

robiłem wszystko, co było moim obowiązkiem. Z góry go ostrzegałem parę razy, a on na to nie zważał. Ci złodzieje myślą, że jak dwa — trzy razy kupili u mnie, to już zarobiłem na nich, dyabeł wie, ile! I każdy sobie pozwala, jednem słowem, nie płacić. Poprostu nie płacić... Ale nie! Tak nie będzie... Czy to i od *reb* Nachmena mam cierpieć? Nie, nie! On pójdzie do dyabła, a ja mu nie podaruję ani jednej „*pryjte*” (szeląga).

Nazajutrz Nusen przyszedł bardzo wcześnie do sklepu. Zastał już starego i syna. Gdy tylko drzwi otworzył, stary zawołał nań:

— Napisz-no prędko list bardzo pilny

— Do kogo? do kogo?—zapytał syn.

— Do Rachmila w Poniewieżu.

— Ale co będziesz do niego pisał? Przecież wczoraj dopiero posłano mu towary, a po za tem nic się nam nie należy... „Żebym tak żył”, że to nie takie pilne.

— Jak widzę—odrzekł stary—to ty nie znasz jeszcze tych kupców. Jak dzisiaj zaczniemy im listy posyłać, to jest nadzieja, że przyślą za jakie trzy miesiące weksle do uregulowania.

— Ale ja ci mówię, że czas jutro pisać. *Głównie* pisać trzeba do *reb* Berkina w Nowej Aleksandryi... To jest naprawdę zbój, jakiego świat nie widział jeszcze.

— Berkin nie przysłał jeszcze „pokrycia?”

— Pokrycie?! Kto teraz mówi o pokryciu! Ha, ha, ha! — wołał syn. — Dobrze będzie, jak za pół roku odeśle pokrycie... On przysłał zwrot!

— Zwrot?!—zawołał Bekukin—porwawszy się z miejsca—zwrot! Nie, nie! Tu chłopiec nie poradzi swemi listami. Teraz muszę sam pisać... Ja mu dam!

I to mówiąc, wziął papier i pióro i zasiadł

do pisania z zamachem nadzwyczajnym. Za chwilę jednak odrzucił przybory pisarskie i wstał żywo z miejsca.

— Ta wiadomość tak mi popsuła zdrowie, że nie jestem w stanie napisać ani jednego wyrazu. Chłopiec! Jak się nazywasz! Nusen! Pisz, pisz ty! Wylej na niego całą złość moją, powiedz mu: co on sobie myśli? Czy to na świecie panuje bezrząd? Pisz mu dobrze, powiedz mu... Albo czekajno, pokaż, co piszesz!

Nusen pokazał mu pierwsze wiersze, które zdążył napisać, stosując się do stylu, gromiącego ostro Berkina.

— Bydlę! Czy to się tak pisze list? Co ty sobie myślisz, że p. Berkin to taki sobie „człowiek z ulicy", z którym można mówić, łając go, jak pierwszego lepszego? Ty nie patrz na to, co ja do ciebie mówię o nim. Bo tak się to zwykle mówi, ale pisać trzeba innemi słowami. Czy ty wiesz, cobyś mógł narobić takim listem? Pan Berkin przestałby zupełnie handlować z nami. Musisz wiedzieć, że kupców takich, jak Berkin, jest bardzo mało, a komisyonerów „przez nasze grzechy liczne", przybywa coraz więcej. Każdy komisyoner szkodzi, zadaje ciosy, wszyscy usiłują odebrać mi Berkina, a tu ten chłopak pisze do niego list taki.

— I naprawdę—odezwał się syn—do Berkina „potrzebujesz" sam pisać.

— To ja właśnie mówię, że nie mam się na kogo spuścić! Do Bojarskiego muszę sam pisać, do tego sam i do owego sam, wszystko po dawnemu.

— Do Silbermana w Wyłkowyszkach mógłby on pisać.

— A co się z nim stało nowego?

— Widziałeś przecie jego list.

— Widziałem, i co?

— Jeżeli widziałeś, to poco się mnie pytasz?

— A gdzie list?

— Poco ci list? Możesz się zdać na mnie. On słyszał, że Szymonowicz w Białymstoku ma znacznie większy procent z towarów.

— I przez to?

— I przez to? Pytaj go się, to ci powie... On sam nie wie, czego chce. Daj mu wszystko, oddaj mu wszystko, co posiadasz, daj mu procent z lamy, ustępstwo na kretonie, jaki kupił i kupować będzie, przedłużaj termin zapłaty. Jednem słowem: oddaj mu cały świat, to może wtedy będzie miał dosyć.

— Ny, ny — mruczał stary — z takimi panami to nic tak strasznego... Żebym tyle się miał martwić o Berkina, ile o Silbermana.

— A co mu zrobisz, jak nie ureguluje wekslu? Jak da „zwrot?"

— Co mu zrobię? A to głupie pytanie! A co robiłem z Luryą, Gutmanem, Pikiem i t. d.?

— To i on będzie unikał naszego sklepu, jak oni.

— To... to... ja właśnie tego pragnę, to będę wiedział, że mam spokój wszędzie... Rozumiesz?

— Rób sobie, rób, jak chcesz.

— Ma się rozumieć, że będę robił, jak chcę, i nie będę ciebie pytał o radę.

— Rób, rób, jak ci się podoba. Prowadź handel, jak uważasz... Niech mnie ręka zaboli, jeżeli ja jeszcze zajrzę do twojego sklepu.

— To ci tylko będę wdzięczny zato, więcej, aniżeli za zaglądanie.

— Zobaczymy... — odrzekł syn, opuszczając z gniewem sklep ojca.

Po wyjściu syna, stary zwrócił się do Nusena z uwagą, że listu hebrajsko-żydowskiego, jak mu się

zdaje, Nusen nie będzie mógł pisać, ale że z czasem to może się nauczy sposobów handlowych, które najgłupszemu dodają sprytu... Może, może... Tymczasem jednak nie ma się na kogo zdać!

Ale zaledwie tydzień upłynął, Nusen zaawansował z „chłopca” na buchaltera, niespodzianie i wypadkiem dziwnym, straciwszy już nadzieję dojścia do tego zaszczytu.

Stał on wtedy w sklepie i miotełką oczyszczał towary z kurzu, potem stoły i krzesła, gdy wszedł buchalter od fabrykanta Romesza z notatką w ręku, z której zaczął wyliczać Bekukinowi wszelkie zawiłości w ich rachunkach.

Mówili z początku bardzo łagodnie. Buchalter stał przed Bekukinem, pełen uszanowania i wyłożył mu wszystko w języku niemiecko-łódzkim, kręcąc jednocześnie wąs bardzo ładny.

Bekukin wstał również z krzesła i pakując sobie wolno w nos pełną garść tabaki, wskazał buchalterowi, gdzie leżą jego księgi, i mówił:

— Przecież pan widzi, że ja jestem prostym człowiekiem, Żydem ze starego pokolenia, który nie zna się wcale na tych rzeczach... Szukaj pan, a może znajdziesz, może pan masz racyę...

Buchalter włożył na nos binokle, roztworzył księgi i szukał w nich czas jakiś uważnie. Wtem twarz mu się rozjaśniła, uśmiechnął się znacząco.

— „Tu pies pochowany” — zawołał po niemiecku—tu omyłka, znalazłem ją wraz z przyczyną pomyłki...

— Che, che, che — wzdychał Bekukin — kto wie, ile jeszcze błędów takich zrobił mój buchalter, o których ja nic nie wiem... Bóg wie, ile jeszcze „szkód” mi wyrządził ten „*rusze*” (nikczemnik).

I mówiąc to, usiadł znowu na krześle.

— A więc — mówił buchalter, podając rękę

Bekukinowi na pożegnanie—zechce pan na nasze dobro zapisać dwieście rubli.

— Co?! — wykrzyknął Bekukin, powstając z miejsca—co pan mówisz? Nie rozumiem „ani pół wyrazu" z tego—dodał, czerwony, jak rak—co pan pleciesz... co?...

— Zdaje mi się, że mówiłem panu wyraźnie—odrzekł buchalter z uśmiechem — Kiedy odkryłem pomyłkę w pańskich księgach, to zechciej pan nam zabonifikować, czyli zapisać w swej księdze, że jesteś nam winien jeszcze dwieście rubli.

— A więc mów pan wyraźnie—zawołał stary, wypluwając dwa razy przed buchalterem—mów pan wyraźnie, że chcesz odemnie dwieście rubli, a poco ten wstęp niepotrzebny? Ale ja muszę też panu z góry powiedzieć, żeś nie trafił dobrze... Ha, ha, ha — usiłował śmiać się Bekukin wobec buchaltera — on myśli, że natrafił na dziecko niewinne, z którem się bawi... Znamy się na tych interesach... Jak przyszedł i powiedział, że znalazł błąd w moich rachunkach, to mu dlatego dam dwieście rubli? A co będzie, jeżeli jutro przyjdzie i powie, że znów błąd znalazł? To ja się go zaraz ulęknę? Słuchaj pan, co mówię: Idź pan do domu i prześpij się, a jak się obudzisz z czystym rozumem i mózgiem zdrowym, to nie będziesz przynajmniej mówił takich głupstw i niedorzeczności, z których każdy śmiać się musi... Ależ to zuchwałość, „*chycpe*", ażeby coś podobnego mówić! Czy to kto słyszał kiedy? Buchalter, który u mnie pracował, dzięki Bogu, wiele lat i nie popełnił ani jednego błędu, zrobił tutaj omyłkę, bo tak się podoba temu świadkowi, co woła: znalazłem omyłkę! Jak zestawimy pańską umiejętność z wiadomościami mojego buchaltera, to pan sam przyznasz, że ty nic nie znaczysz! Ale na co mi tyle mówić? Idź pan, szukaj w swoich księgach, wertuj je dobrze, to może

się pokaże, iż pan się mylisz, a jak się nie pokaże, to nie myśl pan, że mi pilno zaraz wam zapłacić! Dzięki Bogu, są jeszcze sędziowie na świecie! Pójdziemy do „*dyn-tojre*” (sądu rabina), ale ja pana ostrzegam z góry, że wszystko jest nadaremne!... Jak mnie nawet „*dajen*” (sędzia-rabin) skarze, to ja go nie będę słuchał, ja mogę wykazać i przekonać wszystkich licznemi dowodami, że mój buchalter zasługuje na zaufanie.

— Ależ, panie Bekukin! — śmiał się buchalter — to są wszystko zbyteczne słowa. Nie potrzebujemy wcale pójść do „*dyn-tojre*”, ani przedstawiać dowodów... To bardzo prosta i łatwa rzecz, którą każdy może zrozumieć. Zajrzyj-no pan do księgi, do „dziennika”, to zobaczysz, że dnia 12 kwietnia kupiłeś od nas towaru za 100 rubli. A zamiast przeprowadzić tę pozycyę do księgi głównej na nasze dobro, to przeprowadził mylnie na nasz kredyt, wypada więc, że się dwa razy omylił o 100 rubli, raz, że nie wpisał na nasze dobro, a drugi, że nas obciążył... Mówię panu i radzę, jak wierny przyjaciel, panie Bekukin, że pan musisz uporządkować swe księgi i zrewidować je, bo takie błędy świadczą, że niema wcale porządku, a tak, jak się znalazły błędy na niekorzyść pańską, mogą się znaleźć, gdy pan poszukasz, i na twoją korzyść!...

— Jeżeli pan szanujesz swe pieniądze, musisz się pan starać o to, nie zaniedbywać — mówił dalej.—Może jeszcze da się uratować jakie straty...

Bekukin westchnął głośno i uderzył się w kolano.

— Słyszałeś? — mówił do syna, wchodzącego w tej chwili do sklepu — słyszałeś? Buchalter od Romesza przyszedł dziś z nową pretensyą.

— Czego on chce znów? — pytał syn, ze złością przypatrując się ojcu.

— A czego ty wytrzeszczasz tak na mnie gały? Cóż tak gębę rozdziawiasz? Chcesz mnie połknąć?—gniewał się ojciec. – Opowiadam ci przecież: on przyszedł dziś z nową pretensyą, że jest pomyłka w rachunku i dlatego należy mu się jeszcze...

— Pomyłka... takie rzeczy się zdarzają — odpowiedział syn obojętnie—trzeba naprzód zobaczyć co i jak... i zapłacić.

— Rozbójniku, morderco, zabójco! — krzyczał ojciec na syna, tupiąc nogami—więc podług ciebie, jak przyjdzie jaki głupi buchalter i powie ci, że jest błąd w księgach, to mu na poczekaniu dasz dwieście pięćdziesiąt rubli?! Czyś ty, *wrogu Syonu*, oszalał? Czy ty słyszysz, co mówisz?

— Ależ on napewno nie mówi tak sobie bez dowodu... On pewnie wykazuje także, gdzie jest omyłka—wołał syn jeszcze głośniej, tupiąc również nogami. — A co ci się stało, głupcze stary, że tak krzyczysz?

— Ty, ośla głowo, *dziki człowiek!* A jak mi pokaże nawet milion razy? Po pierwsze, nie jestem buchalterem, a po drugie... Ale co to, co ty sobie myślisz, choć cię wziąłem do swego sklepu do pomocy, to jeszcze nie jesteś panem moich pieniędzy, nie rządzisz moim majątkiem. I ty, i Romesz, i jego buchalter, niech was wszystkich dyabli wezmą... Przychodzisz tu tylko, żeby mię serce przez was bolało, żebym miał zgryzoty. Całą godzinę buchalter ssał moją krew słówkami niewinnemi i śmiechem „nieczystym”, jaki miał na wargach, a teraz i ty się uwziąłeś na mnie, zbójco, rabusiu leśny! Jak Romesz usłyszy, że ty mu dajesz racyę, to co *on* wtedy powie?

Syn nic nie odpowiedział, biegał tylko po pokoju tam i z powrotem, poczem poskoczył do Nusena, który zaglądał do księgi głównej, gdzie była

omyłka, i dziwił się porządkom, jakie panują w takim sklepie.

— Co ty tu zaglądasz do książki!—wołał syn— czy ty nie masz roboty żadnej?

— *Tu* jest omyłka — odrzekł Nusen, zamiast odpowiedzi.

Syn spojrzał na niego, zdziwiony, z otwartemi ustami.

— Tu zapisano w „dzienniku" i ztąd przeprowadzono na stronę debitową Romesza — dodał Nusen, wskazując palcem na dwie pozycye fałszywe w księgach.

— Hi, ha, hu! — śmiał się syn na całe gardło, — dwieście rubli zapłacisz święcie, co do grosza.

Na te słowa syna, ojciec zaczerwienił się ze złości i zsiniał.

— *Panie świata!* — odezwał się ciszej — jeżeli tak, jeśli buchalter, niech jego pamięć zginie, mógł robić takie błędy, to kto wie, czy nie robił przeciwnych także? Czy nie wyrządził mi strat znacznych?...

— Przestań lepiej myśleć o takich głupstwach—wołał syn.—Buchalter mógł robić sto błędów dziennie, a jednak ci nie zaszkodził na wartość jednego szeląga. Czy ty myślisz, że my się stosujemy do buchaltera? że ja płacę pieniądze i odbieram podług niego? Nie, nie! Ty mnie nie znasz dobrze, nie rozumiesz... Sto razy napuchną nogi tych, co chcą ze mną uregulować rachunek. Naprzód każę sobie przedstawić rachunek tymczasowy, który porównywam ze swoim rachunkiem, a przytem porównywaniu mam *wielką* zasadę, a podług niej reguluję rachunki... Zasada to taka: jeżeli znajduję w księgach, że jestem winien mniej, niżeli napisano w rachunku, to mam dwa pewniki: jeden, że moje księgi są dobrze prowadzone, a drugi, że

kupcy, co przedstawiają rachunki, są złodziejami, a gdyby nawet na głowie stawali, nie zapłacę więcej, aniżeli jest w księgach, chyba, że mi wykażą wszystko jasno i dowodami, iż nie mam racyi. Jeżeli zaś przeciwnie, podług moich ksiąg trzeba więcej płacić, niż w rachunku mi podano, to mam pewnik, że nikt mi nie chce darować, a gdy kupiec pisze w rachunku, że tyle tylko mu się należy, to pewnie ma racyę. Co zaś do ksiąg moich, to wiadomo, że buchalter nie dba tak o dobro swego pryncypała i pisze, nie zważając, czy mu tem wyrządza szkodę, czy nie, więc księgi handlowe nie są żadnym dowodem i ja reguluję rachunek podług tamtego kupca, chyba, że mi później wykaże dowodami, że nie mam racyi, to się wtedy przyznaję do „omyłki".

— W tem to masz racyę, synu — odrzekł stary spokojnie, kładąc się na ławce — ale pytam cię, jak to jest, jeżeli obaj się mylą, i ja i kupiec, a jak mu daję 100 rubli, należnych podług obu rachunków, kto wie, czy się nie należy tylko 50? Rozumiesz? Jak to jest w takim wypadku?

— W tym wypadku? W tym wypadku?—mówił syn, drapiąc się po głowie — wtedy? Nie, coś podobnego się nie zdarza.

— Ty wiesz, co się nie zdarza! — zaczął ojciec, powstając z ławki i chodząc po pokoju — ty wiesz... ty mnie opowiadasz, co się zdarza, a co nie! Jestem starszy od ciebie i wiem.. Nie chcę tylko tego opowiadać...

— Nie!—zawołał syn ze stanowczością—takie pomyłki się nie zdarzają. Ja nie należę do tych, co prędko wypłacają... a zresztą zapisuję przecie u siebie w książce.

— To po co nam potrzebny buchalter i cała buchalterya, co tylko zajmuje dużo miejsca w sklepie!—mówił stary, rozkładając ręce. — Po co nam ta plaga? Na co wydatki zbyteczne? Po co głowę

sobie zawracać księgami i błędami? Zapisujmy wszystko razem w książeczce, jak za dawnych, dobrych, szczęśliwych czasów, które oby się jeszcze wróciły... to chociaż błędów nie będzie...

Ojciec i syn patrzyli na siebie w milczeniu.

— Panowie — wtrącił się Nusen — prowadzić księgi handlowe, jak wy prowadzicie, to coś niezwykłego, ale jeżeli mi panowie pozwolicie prowadzić księgi, jak ja się uczyłem, to mam nadzieję, że będziecie kontenci.

Ojciec i syn uśmiechnęli się.

— Poznałem—szeptał syn do ucha ojcu—jak mi pokazał omyłkę, że ma jakieś pojęcie o buchalteryi.

— Naprawdę?—pytał ojciec, wciąż się uśmiechając.

— Mam bardzo dobrą metodę—wtrącił dalej Nusen — metodę, której mnie nauczył przez korespondencyę nauczyciel buchalteryi, „uczony" („chuchem") i matematyk, Jehyde lewita, Lewik z Berdyczowa...

— Tylko bez wstępów zbytecznych — zawołali syn i ojciec razem.

— Tą metodą — mówił dalej Nusen — prowadząc księgi handlowe, nie można się nigdy omylić.

— Che, che, che!—roześmieli się wszyscy obecni w sklepie.

— Jednak—mówił syn do ojca—co ci szkodzi? Niech ten „bucher" opowie nam tę metodę cudowną.

Nusen zaczął im wykładać pokrótce zasady buchalteryi podwójnej, bilansu, wykazującego omyłkę każdą, o ile zaszła przy zapisywaniu.

— Z tego wszystkiego nie rozumiem ani słowa—niecierpliwił się stary.

— Nie rozumiesz...—rzekł syn.—A zkąd masz

rozumieć? Ja także nie rozumiem, a jednak poznaję po jego słowach, że mają jakieś znaczenie. Jak przyjdzie buchalter Romesza, poprosimy go o wypróbowanie Nusena.

— Zobaczymy! Może on co umie... Cha, cha!

W tej chwili wrócił buchalter Romesza.

— Czego się śmiejecie?—pytał zdziwiony.

— Jaka to szkoda, żeśmy nie mówili w tak szczęśliwej chwili o mesyaszu żydowskim, byłby on nadszedł — mówił ojciec — ale dobrze, żeś pan przyszedł. Mamy tu śliczną komedyę z chłopcem. On mówi, że może tak prowadzić księgi handlowe, żeby nie było wcale omyłki.. che, che, che.

— A czego tu się śmiać! — rzekł buchalter— kto umie prowadzić, ten się nie myli nigdy. Każdy człowiek zresztą może się omylić, ale buchalterya odkrywa tę omyłkę podczas robienia bilansu. I dlatego większa część kupców, prowadzących porządnie księgi, nie reguluje żadnego rachunku przed pierwszym, z obawy, żeby nie zaszła pomyłka. Kiedy zaś bilans miesięczny jest już ukończony, to buchalter jest przekonany, że nie popełnił błędu przez cały miesiąc.

— Jeżeli tak — odezwali się syn i ojciec—to zechciej pan z łaski swej próbować tego „buchera”, może on umie co z buchalteryi...

Nusen wytrzymał zwycięzko egzamin krótki, Buchatler oświadczył Bekukinom wyraźnie i stanowczo, że Nusen może być u nich głównym buchalterem...

I Nusen został buchalterem.

* * *

Dnia 28 lipca w południe dnia upalnego Bekukin siedział w kantorze i kiwał się nad wielką

księgą talmudyczną, nad „Gmurą” (traktatem) kompletnego nowego wydania wileńskiego.

Uczył się na głos, nucąc smętnie. W sklepie nie było nikogo obcego! Nusen pracował przy stole, przeprowadzając pozycye z dziennika do księgi głównej. Jojna bawił się przyrządzaniem tutek z tabaką, które pchał w nos drzemiącego z głową opuszczoną chłopca rudego. Ogromnie był kontent, gdy mu się udała „fonfa”, a chłopak się zachłysnął mocno.

Drzwi się roztworzyły i wszedł Symson, zarządzający fabryką Kopelmana. Przywitał starego, a ten kiwnął mu głową.

— Zechciej, panie Bekukin, dać mi 800 rubli, bo potrzebuję pilno. Do godziny 2-ej najpóźniej muszę zapłacić bankowi Państwa znaczną sumę. Niewiele zostaje do 2-ej, musiałbym protest zapłacić i wstydu się najeść—mówił Symson, wyciągając już rękę po pieniądze.

— Pomimo, że mi się wiele więcej należy od pana—dodał Symson, spostrzegłszy, że jego prośba silne, lecz niedobre wywarła wrażenie na Bekukinie—to jednak zadowolę się tą małą sumą, gdyż, bądź co bądź, regulujemy zwykle w końcu roku, ale pan chyba nie wątpisz, że tyle mi się napewno należy.

— Poczekaj-no pan, siądaj trochę, panie Symson — szeptał Bekukin, wskazując palcem krzesło, obok stojące — za kilka chwil przyjdzie syn mój... on... przejrzy konto.

— Ależ, na Boga—wołał Symson—przecież tyle toś mi pan był winien jeszcze przed miesiącem, zanim przysłałem kretony i płótna. Przecież buchalter tu siedzi, niech nam powie, ile mi się należy, to pan będziesz wiedział, czy możesz mi dać 800 rubli, czy nie.

— Zobaczno, jak się nazywasz, chłopiec!—wołał stary—zobacz, Nusen, przekonaj się, ile się należy... ile ja... zobacz!

Nusen zajrzał do konta i odjąwszy kredyt od debetu, przekonał się, że Bekukin jest winien przeszło 1,300 rubli. Zastanawiał się jednak nad tem, czy mówić głośno Bekukinowi o tem, żeby i Symson słyszał, co prawdopodobnie nie podobałoby się pierwszemu, czy też nie mówić.

— O czem tak myślisz?!—wołał stary—gadaj! Jaki jest „ostatni wiersz!” Czy mogę dać około 7 czy 600 rubli?

— 600 rubli, zdaje mi się, należy się napewno—odrzekł Nusen przebiegle.

— Napewno?! Co to jest „napewno?” —gderał stary.

— Niech będzie 600! Ale skończ pan! Daj mi pan prędko, bo termin minie! — uśmiechnął się Symson.

— Słuchaj mnie pan, to Bóg ciebie będzie słuchał!—mówił Bekukin—posłuchaj mojej rady, to ci Bóg pomoże. Poczekaj, aż syn przyjdzie... bo bez niego...

— Ależ panie Bekukin!—krzyknął Symson.

— Sza, nie krzycz pan tak głośno—uspokajał go Bekukin—na co panu 600, kiedy pan potrzebujesz 800, a ja w każdym razie więcej dać nie mogę. Słyszałeś pan, co buchalter mówi! i oprócz tego nie mam dużo pieniędzy... a co pan zrobisz z 600 rublami?

— Reszty dopożyczę.

— Panie Symson, może mi pan zrobisz tę wielką łaskę i pożyczysz całej sumy?

— Panie świata! — krzyczał Symson, robiąc przy tem groźną minę.

Stary mu nie dał dalej mówić.

— Nie krzycz pan tak! Ludzie się zlatują ze wszystkich stron, stoją pod oknami... Masz pan 500 rubli i idź z Bogiem.

— Na szczęście! Nareszcie! — wołał Symson, zgarnął pieniądze i wyszedł.

Po jego wyjściu nadszedł syn.

— Co tutaj robił Symson? — zapytał niespokojnie.

— Co robił... to ty nie wiesz, po co te pijawki przychodzą?

— Pieniędzy żądał?!—zapytał trwożnie.

— Jeszcze lepiej... wziął pieniądze.

— Wziął pieniądze! — podskoczył syn — wziął pieniądze! Ha, ha, ha!

Mówiąc to, zaczął biegać po pokoju.

— Panie świata! („Rybojne-szel-ojlom"). Kiedy ja się wydostanę, Ojcze niebieski, z tego sklepu, gdzie niema żadnego porządku, a sam pryncypał robi takie rzeczy, za które wart jest, żeby mu zęby wybić... co do jednego... Oh, Boże w niebie!...

Stary zamilkł ze strachu.

— On milczy! Che, che, che! — uśmiechał się syn jadowicie. — Zrobił coś, na wspomnienie czego zadrżeć można, włosy powstają na głowie, w uszach dzwoni, a on nie bierze sobie wcale tego do serca... Gdybym ja, naprzykład, zrobił coś podobnego, toby Łódź dla mnie była za ciasną, nie miałbym się gdzie schować, a on—nic! Patrzajcie, spojrzyjcie na niego, jak siedzi cicho, milczy i nic nie mówi, jakby nie o niego szło, „nie o nim się myśli." Gadaj wyraźnie, opowiadaj, w jaki sposób ten podlec ciebie oszukał? Jak wyciągnął od ciebie pieniądze? Jak cię złowił, jak ptaka w sieci, owemi dobremi słówkami, co zawsze na ciebie tak działają, że oddałbyś „ostatnią duszę..." Gadaj wyraźnie, niech się dowiem, ile pieniędzy wrzuciłeś do rzeki?

— Jaka rzeka? Co ty pleciesz?—odezwał się wreszcie stary — dziki człowiek! Czy to niema sądów! Zobaczysz, jak ten podlec zwróci mi wszystkie pieniądze co do grosza i jeszcze koszta zapłaci i procenty... Dzięki Bogu, są sądy!

— Ale przestan gadać głupstwa i niedorzeczności — odrzekł syn — tym razem lepiej żebyś otarł usta i milczał... Tutaj zaszło coś bardzo zawiłego, to bardzo kręty interes! Gdybyś mu był nie dał ani grosza, nie mógłby mieć żadnej pretensyi, a jak mu teraz dałeś, to pożegnaj się z nim... Ale powiedz mi, ile pieniędzy?

— Pięćset -- syknął ojciec w ostatniej rezygnacyi.

— Pięćset rubli!—wrzeszczał syn—słuchaj-no, tate! — dodał, trzęsąc się cały — dyabli wezmą cały handel ze wszystkiemi rachunkami, wszystko się spali. Od dzisiaj możesz sobie robić w sklepie, co ci się podoba, a wiedz, że ja się nie wtrącę, mnie nic nie obchodzi.

— Ależ twój buchalter—rozpaczał stary, świdrując oczyma Nusena—buchalter twój.

Pierwszy to raz Bekukin nazwał tak Nusena.

— Ten buchalter jest taki „mój", jak „twój" — mówił syn—a jednak nigdy nie dałem grosza na zasadzie jego książek.

— A przecież mówiło się, że on nie robi błędów... przecież ty, ty sam mówiłeś...

— Mówiło się... ja sam mówiłem... ale widzisz przecie, widzisz, że tak nie jest.

Nusen na te słowa podszedł z książką do syna, chcąc go przekonać, że Symsonowi należy się 1,300 rubli. Syn jednak odepchnął go.

— Siedź cicho i nie bądź chociaż głupcem!

— Ależ zobacz w księgach — mówił stary — może...

— Może...—kiwał syn głową.—Może co? Co zobaczę?... Może! Che, che, che! On rzucił pieniądze do wody, a mnie każe szukać w księgach. Może... A jeżeli tak stoi w księgach, to co? O, masz trzy listy z poczty, które teraz odebrałem: trzech kupców jednocześnie, bierz ich dyabli, jakby się umówili, odsyłają zwroty i wszystkie towary Symsona na 900 rubli. Gdybyś mu był nie dał pieniędzy, mógłbym zwrócić towar, czy chce, czy nie chce; należność za zwrot potrąciłbym z rachunku. Ale jak mu dałeś, to on nie będzie głupi, nie weźmie zwrotu. Jestem pewny, że jak się przyjdzie do niego, to drzwi pokaże... jak to on zwykle robi nawet wtedy, kiedy jesteśmy mu winni, a co dopiero teraz? A zresztą, kto to daje teraz gotówkę? Czy on „jest chory” wziąć weksle 8—9-miesięczne? Co? A jeżeli potrzebuje gotówki, to bardzo dobrze, zrobimy z nim interes dyskontowy, potrącimy za czas, za inkasę, ale darmo, zupełnie darmo dać pieniądze... Za wodę do picia płaci się teraz, a on mu daje pieniądze darmo...

Nusen, słysząc to, uspokoił się, boć przecież on nic nie wiedział o listach, ani zwrotach. Sądził nawet, że stary go zechce usprawiedliwić wobec syna. Usłyszał jednak zupełnie co innego.

— Synu, na ciebie się nie gniewam — odezwał się łagodnie do Nusena — tyś tego nie zrobił, broń Boże, umyślnie... Dziękuję tylko Bogu za Jego wielką łaskę, że teraz szkoda nie jest tak duża... 500 rubli, niech to pójdzie „na odkupienie i przebaczenie moich grzechów...”

— Ależ pan ma towar — przerwał mu Nusen ze łzami w oczach — może Symson przyjmie zwrot. Pójdę go prosić, błagać... Należy mu się zresztą jeszcze 800 rubli... i on żyje przecież... pan będzie miał z nim stosunki... kupi się u niego towary...

— Synu — zaczął Bekukin—po co tyle gada-

nia? Czy ja ci robię co złego, broń Boże? („chasweszulem”). Mówię z tobą, jak z „osobą” rozumną. Widzisz przecie.. Te rzeczy gorsze są od błędów... to wszystko znaczy, że nie znasz buchalteryi... nie wiesz tego co buchalter wiedzieć powinien. Ale synu, nie przerywaj mi, bom starszy od ciebie — nie dał Bekukin Nusenowi dojść do słowa — przecież tyś mądry, a nie jakiś głupi „bucher”, czy możesz wymagać, ażebym miał ciągle zmartwienia i niepokój? Możesz zostać u mnie w sklepie, otrzymasz pensyę, tylko do ksiąg mi nie dochodź... Muszę w końcu przyjąć „prawdziwego buchaltera”, któremu będziesz może później mógł pomagać. A teraz się boję. Powiedz sam, nie jesteś przecież głupi, czy to grzech, że ja lubię swe pieniądze, jak siebie samego?... Pieniądze to moja krew... Tobie nie potrzebuję mówić, bo wiesz, jak ciężko pracuję... i boję się dać pieniądze swe do przeliczenia człowiekowi, który ich liczyć nie umie...

Kiedy Nusen wrócił do domu, żalił się przed gospodarzami, u których mieszkał, na niesprawiedliwość bolesną, jaka go spotkała w sklepie. Gospodyni Jachne pocieszała go, że ma przecie da lej posadę, a „jak będzie z czasem dobrym subiektem (mszures), to może mu być lepiej, niż stu buchalterom.”

Mąż jej, Nuchem, dodał:

— Co do tego, to żona ma racyę, ale co do ciebie, który mówisz, że Bekukin nie ma racyi, to powiem ci prawdę, przecież wiesz, że nie umiem pochlebiać. Bekukin nie należy do tych kupców, których się sprzedaje dziesięciu za grosz, on wie dobrze, czego handel wymaga, i nie pierwszy raz „trzyma” buchaltera. Obyś, Panie świata, zechciał, żebym ja zarabiał połowę tego, ile Bekukin wydał na buchalterów... I naprawdę mówię ci, zaraz z początku, kiedyś przyszedł z wiadomością, że Bekukin

cię przyjął na buchaltera, to przepraszam cię, ja nie znam się na twoich zdolnościach, „dobry rok cię zna", mówiłem sobie zaraz: nyj!...

Nazajutrz Nusen zastał już w sklepie „prawdziwego" buchaltera w okularach, z wąsami, wystrojonego podług ostatniej mody łódzkiej. Nusen chodził, jak struty. Przykrą mu była rola dymisyonowanego buchaltera. Starał się też pocichu o inną posadę.

Bekukin zwrócił uwagę na to jego przygnębienie.

— Cóżeś ty się tak jakoś zmienił? Jesteś zupełnie innym człowiekiem. Czyś się już nauczył zwyczajów drogich „bucherów" łódzkich? Jesteś zupełnie do nich podobny. A dlaczego próżnujesz po całych dniach? Dlaczego, jak się do ciebie mówi, to jakby się „mówiło do ściany?"

Raz znowu, kiedy byli sami jedni, stary zawołał:

— Nusen!

— Jestem!

— Czy to prawda, co ja słyszałem, że szukasz innej posady?

Nusen milczał.

— No, to muszę cię ostrzedz, że ja nienawidzę takich „porządków." Jak chcesz odejść odemnie, to możesz mi powiedzieć, to cię uwolnię, bo jak widzę, nie jesteś ten sam „Nusen", co w początku.

Kiedy nastał nowy buchalter, Jojne narzekał ciągle przed Nusenem, że z jego przyczyny traci on ze dwadzieścia rubli miesięcznie „napewno." Gdyby nie ten „szlimazel" (nieszczęsny) Nusen, toby sobie Jojne już wynalazł jakiego buchaltera, jak on rozumie, a nie takiego, co zabiera dla siebie całą prowizyę, kradnie dużo i nie pozwala Jojnemu „połamanej kości oblizać."

Po kilku jednak dniach Jojne się pocieszył i prowadził ciągle rozmowy ciche z nowym buchalterem.

W następną „wigilię soboty" (piątek) stary przy zamykaniu sklepu przed wieczorem pytał Nusena:

— Gdzie ty jadasz w soboty?

I zanim zdążył otrzymać odpowiedź, dodał:

— Przyjdziesz do mnie zaraz po modlitwie wieczornej w bóżnicy, to będziesz u mnie jadł w sobotę...

Nusen poszedł chętnie. Zjadł kolacyę wieczorem, śniadanie nazajutrz, zastępujące obiad, którego się nie jada w sobotę, i podwieczorek, nazwany „szałeszyjdes", czyli „trzecia uczta" sobotnia.

Przez całą dobę trudno było poznać starego i syna, tak się zmienili gruntownie. Podczas kiedy przez całe sześć dni „pracy" podobni byli „do kogutów" i nie było dnia bez kłótni, to przez całą sobotę siedzieli razem przy stole i z prawdziwem uczuciem przywiązania i miłości rodzinnej mówili o interesach swej familii całej, opowiadali sobie nowości o „ogóle Izraela", wyczytane w *Hacefirze*.

O sprawach handlowych nie mówili wcale. Listy, z poczty nadchodzące, kazali odłożyć w drugim pokoju, nie odpieczętowawszy ich, ani spojrzawszy, od kogo nadeszły.

Mówili przeważnie o „rzeczach naukowych" („tojre").

Ojciec komentował epizody z Pięcioksięgu Mojżesza, czytane tego dnia sobotniego w bóżnicy („a pusyk fin a parsze").

Syn również występuje z komentarzami. Sprzeczają się i teraz, ale nie gniewają. Pod wpływem tych rozmów, Nusen zapomniał o swej biedzie, zaczął też wtrącać swe uwagi i komentarze, które by-

ły przyjmowane przez Bekukinów z zajęciem. Traktowali wtedy Nusena, jak swego równego. I oni byli jacyś odmienni. Na twarzy nie mieli tego powszedniego wyrazu zakłopotania i troski o grosz, w oczach — tego wzroku zwierzęcia, czyhającego na zdobycz.

Po „trzeciej uczcie" Bekukin kazał Nusenowi zgłosić się doń wieczorem po modlitwie nad ogniem („hawdule"). Rozkaz był wydany w taki sposób, że Nusen przeczuł, iż go nie czeka nic dobrego. Przyszedłszy o wyznaczonej porze, zastał starego z żoną przy stole w pokoju, oświetlonym przez jednę tylko świecę. Z kuchni dochodził szum kipiącego samowara.

Gdy tylko Nusen drzwi otworzył, żona podniosła się i wyszła do drugiego pokoju. Kilka chwil panowało milczenie, poczem stary zapytał:

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia.

— Hm! hm!

I znowu zapanowała cisza.

— Czy masz rodziców? — pytał, powstawszy z miejsca i chodząc po pokoju.

— Mam, do „120 lat."

— Hm! hm!

I znowu cisza.

— A dlaczego nie siedzisz w domu?

Nusen na to pytanie rozpłakał się.

— A braci, siostry masz?

— Mam.

— Głupi („szojte"), czemu płaczesz? Czy zrobiłem ci co złego, trzymając cię jakiś czas w sklepie? Dużo na tem straciłeś? Przecież ja cię wziąłem tylko na próbę, a teraz się przekonałem, że nie jesteś mi potrzebny. Dlatego masz dziesięć rubli i szukaj sobie innej posady... Jak będzie trzeba, to pomówię za tobą kilka słów dobrych.

To powiedziawszy, położył 10 rubli na stole i wyszedł do drugiego pokoju, zamknąwszy drzwi za sobą.

Nusen był przez kilka chwil zrozpaczony. Pocieszał się jednak prędko myślą, że Łódź jest dużem miastem, w którem o posadę nie trudno. Tem bardziej, że miał przyobiecane poparcie Bekukina i buchaltera od Romesza. Miał nadzieję znalezienia lepszej posady u porządniejszego pryncypała. A tymczasem miał trochę pieniędzy...

Nadzieje go jednak zawiodły, szukał, szukał i nie znalazł nic. Ze świadectwa buchaltera ludzie sobie nic nie robili, a ze słów Bekukina inni „panowie" sądzili wręcz przeciwnie, mówiąc sobie: „Jakby był taki zdolny, jak pan przedstawiasz, nie straciłby miejsca."

Gospodyni Jachne straciła też zaufanie i wiarę w zdolności Nusena.

— Mądry człowiek, a „chuchem" — mówiła — radzi sobie i postępuje zupełnie inaczej. Kiedy zwącha nosem — a nos dla Żyda jest tem, czem broń dla żołnierza... rozumiesz? — że się panu nie podoba, to szuka zaraz innej posady... Oj, bieda temu, kto nie ma nosa... Bieda, kiedy czeka, aż „bałbues" (pryncypał) każe mu pójść...

* * *

Po wielu tarapatach Nusen otrzymał miejsce subiekta w składzie manufakturowym towarów łódzkich w Warszawie przy ulicy Gęsiej.

DUSZA.

(Z żargonu).

L. PERETZA.

I.

Jak senne widziadło, pamiętam kręcącą się po izdebce naszej postać małego, chudego, o spiczastej bródce Żydziny, który z tkliwością niezwykłą często mnie obejmował i serdecznemi pocałunkami okrywał.

Potem, pomnę, leżał ten sam Żydek chory w łóżku, stękał żałośnie, a matka, opodal stojąca, rozpaczliwie pięściami w głowę się waliła.

Raz budzę się raptownie w nocy i widzę pokój, pełen Żydów; z podwórza dochodzi mnie płacz rzewny. Drżąc ze strachu, krzyknąłem przeraźliwie.

Podszedł ku mnie jeden z zebranych, ubrał mnie naprędce i zaprowadził do sąsiada spać.

Nazajutrz izby naszej nie poznałem: po ziemi rozsypana bezładnie słoma, lustro szkłem do ściany obrócone, mosiężny świecznik obrusem okryty, a matka w pończochach, bez obuwia, siedziała na nizkim taboreciku na ziemi. Ujrzawszy mnie, zaszlochała gwałtownie i przeciągle zawodziła:

— Sierota, sierota!...

Na oknie palił się kaganek, przy nim stała szklanka wody i płótna szmacik wisiał.

I mówiono mi, że mój ojciec zmarł, że jego

dusza zanurza się w szklance wody i płótnem obciera, że jeśli będę szczerze i pilnie „kadysz” odmawiał, to ona pofrunie prosto do nieba.

A mnie się zdawało, że dusza — to ptaszek skrzydlaty.

II.

Raz mnie „belfer” do domu z chederu odprowadzał. Blizko nas przeszybowało niziutko ptasząt kilkoro.

— Duszyczki fruwają, duszyczki fruwają! — z zachwytem wołałem.

„Belfer” obejrzał się i fuknął na mnie:

— Idź, głupi, to ptaszki są, zwyczajne ptaszki!

W domu spytałem się matki, jak można odróżnić duszę od zwyczajnego ptaszka?

III.

Czternaście lat mając, uczyłem się talmudu z komentarzami, „Tosfos” i „Marszo” zwanemi, i to u mełameda—Zoracha Szczypa!

Po dziś dzień dociec nie mogę, czy Szczyp faktycznem był jego nazwiskiem, czy też przydomkiem tylko, przez uczniów mu nadanym. Bo też szczypał on ich ustawicznie a niemiłosiernie.

I nie czekał bynajmniej, aż który zawini; z góry wypłacał, dodając dobrodusznie:

— Przypomnisz, to ci potrącę.

Na domiar złego, był on „mohelem,” do którego to fachu potrzebny mu był spiczasty i rozrosły paznokieć przy wielkim palcu u prawej ręki, który najmocniej dawał się nam we znaki przy szczypaniu.

Mawiał zaś Zorach przy takich okazyach: „Nie płacz, nie płacz, nie płacz napróżno. Przecież ciało twe tylko szczypię. A wielkież to będzie nieszczęście, jeżeli dla robaków w grobie mniej mięsiska się zostanie do toczenia? Hę?!”

— A ciało — mówił dalej Zorach Szczyp — to zaprawdę tylko piasek jest i popiół. A oto dowód: trzyj jedną rękę o drugą, to się przekonasz.

I próbowaliśmy. Doświadczenia znakomicie się udawały. Widzieliśmy na własne oczy, jak z rąk się wydobywa mieszanina piasku i popiołu.

— Lecz co to jest dusza?—spytałem.

— Duchowość—krótko odrzekł Rabi.

IV.

Zorach Szczyp nienawidził serdecznie żonę swą, Rebową; zato Szpryncę, jedynaczkę, miłował i strzegł, jak oka w głowie.

My wręcz przeciwnie: nienawidziliśmy Szpryncę, donosicielkę, która często nas denuncyowała przed ojcem, a lubili Rebową, która prócz tego, że dawała nam na kredyt bobu z grochem, to jeszcze częstokroć uwalniała z groźnych rąk okrutnego Rebe.

Prawdziwym faworytem Rebowej byłem ja. Otrzymywałem zawsze od niej znaczne dodatki przy

zakupach bobu, a gdy Rebe się uwziął wybić mnie, ona broniła z całych sił:

— Zbrodniarzu, czego chcesz od biednego sieroty? Dusza jego ojca pomści się na tobie, pamiętaj!

Rebe w odpowiedzi puszczał mnie, a rzucał się na Rebową.

Raz, pamiętam, wieczór był zimowy, a ja wracałem z chederu tak cały poszczypany i przeziębnięty, że skóra mi na ciele ścierpła.

Podniosłem wtedy oczy ku niebu, rzewnemi łzami się zalałem i błagałem:

— Ojczulku! Pomścij się na Zorachu Szczypie!... Panie świata, czego on od mojej duszy chce?!

Że on się tylko nad ciałem znęca, zapomniałem zupełnie. Dusza gorąco o pomstę wołała.

V.

Atoli gdy Zorach Szczyp już raz w „dzień radosny” odkładał talmudową księgę i jął opowiadać historye i wydarzenia przeróżne, stawał się wtenczas innym zupełnie człowiekiem.

Zdejmował z głowy „spodek,” z pod którego wyłaniała się kupa pierza, stale jarmułkę zdobiąca. Rozpinał wszystkie guziki, wyprostowywał czoło, pomarszczone zazwyczaj, uśmiechał się i głos mu się jakoś odmieniał.

Przy nauczaniu głos ten był surowy, gruby, mrukliwy, słowem taki, jakim zwykł był przemawiać do Rebowej; przy pogawędkach—miękki, pieszczotli-

wy, cienki, dobroduszny, taki, jakim się zwracał do Szpryncy, jego „drogiej duszy.”

A myśmy go wciąż nagabywali, żeby nam historyę jaką opowiadał. Nie wiedzieliśmy zaś o tem, iż Zorach Szczyp w swoim repertuarze wykładowym posiada tylko jeden jedyny rozdział traktatu talmudycznego, *Eizeh Neszech* („Co jest lichwą wzbronioną”) zatytułowany. Od niego rozpoczynał i na nim kończył semestr półroczny i, chcąc nie chcąc, musiał wypełniać okres ten czasu opowiadaniem historyjek i baśni, zwłaszcza podczas sezonu zimowego, kiedy to świąt uroczystych, w które wykład się nie odbywa, brak zupełnie. A tymczasem my, w naiwności ducha, nieświadomi tej konieczności uciekania się do ekonomii w wykładzie i zastępowania go opowiadanemi właśnie historyami, opłacaliśmy te łaski bobem i grochem, u jego żony kupowanemi, a nawet raz za pieniądze składane sprawiliśmy Szpryncy czerwony, barchanowy kaftanik.

Za ten kaftanik barchanowy opowiedział nam Zorach Szczyp, w jaki sposób Pan Bóg wybiera ze swego skarbca dusze i tchnie je w ciała ludzkie.

I wyobrażałem sobie, że u Pana Boga w skarbcu leżą poukładane dusze, jak towar u mojej matki w sklepiku, w różnorodnych pudełkach: czerwonych, zielonych, białych, niebieskich, przewiązanych sznureczkami.

VI.

Lecz gdy Bóg—opowiadał Rebe—wybiera duszę i rozkazuje jej zejść na nasz padół grzechu, drży ona i płacze...

Kiedy się już znajduje we wnętrznościach przyszłej rodzicielki, schodzi do niej anioł i naucza ją wszystkich nauk świętych.

Gdy jednak nadchodzi pora właściwa, ostateczna, anioł daje jej na pożegnanie szczutka pod nos, skutkiem czego zapomina w mgnieniu oka swych nauk.

— Z tego to powodu—mówi Rebe—ma każde dziecko żydowskie dołek w górnej wardze...

Tegoż dnia przed wieczorem ślizgaliśmy się pod miastem i spostrzegłem, że te szajgecy: Antek, Wojtek i Jasiek, tak samo mają dołki w górnych wargach.

— Jasiek - odważyłem się zapytać—ty także masz duszę?

— A tobie, psia duszo, co do tego?—usłyszałem w zamian jasną odpowiedź.

VII.

Prócz mełameda, miałem i nauczyciela, który mnie pisać uczył.

Nauczyciel uchodził w mieście za wielkiego heretyka (Apikores), sąsiedzi nie używali jego naczyń kuchennych, jak również nie pożyczali mu własnych, obawiając się możliwych u niego przymieszek *trefnego.*

Był wdowcem i nie wierzono, aby Gitla, jego córka, dziewczyna w moim wieku, mogła dość prawidłowo mięso solić i moczyć, aby je koszernem uczynić.

Jednakże, ponieważ słynął z uczoności, matka,

nie zważając na nic, oddała mu syna; pragnęła, aby się jej jedynak także pisać nauczył.

— Proszę was bardzo, reb nauczycielu! — rzekła—nie uczcie go żadnych heretyckich przedmiotów, ani biblii, ani proroków, tylko nauczcie go poprostu liścik żydowski porządnie napisać, tak, jak wszyscy piszą: „Pozdrowienie kochanemu” etc.

Nie mogę ręczyć, czy nauczyciel tej prośbie zadość uczynił.

Gdy mu powtórzyłem historyę rebego i zajście na ślizgawce z powodu dołka w wardze, wpadł w straszny gniew, porwał się gwałtownie z miejsca, kopnięciem nogi odsunął stołek i jął przyspieszonym krokiem mierzyć pokój, wołając:

— Chamy, zbóje, nietoperze...

Po chwili uspokoił się, usiadł znów, wytarł zroszone okulary chustką i pociągnął mnie ku sobie.

— Nie wierz, moje dziecię—zaczął—w takie głupstwa, gadaniny! Czy się dobrze przypatrzyłeś tym chłopcom na ślizgawce? Jak się oni nazywają?

Wymieniłem mu imiona.

— No—pyta się—czy choć jeden z nich ma innego rodzaju oczy? odmienne ręce i nogi, lub inne członki ciała, niż ty? Czy się nie śmieją tak, jak ty? A gdy płaczą, czy innemi łzami się zalewają, niż twoje? Czemużby i duszy, jak ty, nie mieli? Wszyscy ludzie sobie są równi, jednegośmy pochodzenia, jeden Bóg nam ojcem i jedna nas ziemia rodzi. Prawda, że dziś każdy w siebie wmawia, że on koroną jest wszechludzkości i o nim tylko Bóg pamięta; lecz mamy nadzieję, że nadejdą lepsze czasy, jaśniejsza przyszłość, w której wszyscy wyznawać będą jednego Boga, jedno prawo; w której

urzeczywistnią się słowa proroków i ustaną wojny, zniknie wszelka zawiść i nienawiść i stanie się, jak powiedzianem jest: „Że z Syonu wyjdzie nauka, a słowo Boże z Jerozolimy!”

Tę ostatnią cytatę znałem nie z biblii, której się mało uczyłem, lecz z modlitwy „Wajhi binsoa.”

Długo jeszcze nauczyciel mówił, ale ja mało go rozumiałem. Nie mogłem głównie uwierzyć, aby i nieżyd miał rozum, czyli *duszę*, i żeby wszyscy ludzie byli sobie równi. Wiedziałem zaś, że nauczyciel jest heretykiem, że nie wierzy w nic, nawet w pośmiertną wędrówkę dusz, choć sam na własne oczy widziałem, jak po śmierci Fradli—niecnoty, wędrował nad dachem jej mieszkania duży, czarny pies.

Nauczyciel obcinał sobie paznokcie u palców i wyrzucał je przez okno, nie trzymając się kolei, ustanowionej regułą rytualną, nakazującą w dodatku spalenie paznokci wraz z dwoma specyalnie do tego celu od jakiegoś sprzętu domowego oderżniętemi kawałkami drzewa, „świadkami” przezwanemi.

Dawno już uciekłbym od niego i zdradził go przed mamą, że rezonuje „na Boga i Jego Pomazańca,” gdyby nie...

Domyślacie się zapewne, o kim w tej chwili myślę...

VIII.

Były u nas wtedy czasy prawdziwie „mesyaszowskie:” odkryto ważną wskazówkę w proroku

„Danielu" i stanowczą kombinacyę cyfrową na rok bieżący; pokazywano sobie jakiś ustęp w „Zoharze" i „Tajemniczym Midraszu."

Opowiadano potajemnie, że rabin Kozieniecki zaprzestał odmawiać modlitwę „Tachnun," co miało byś nieomylnym dowodem blizkiego nadejścia Mesyasza i że wiarogodna wieść z Jerozolimy głosi, iż tego roku nie widziano lisa przy zachodniej ścianie b. świątyni w rocznicę jej zburzenia, co jeszcze bardziej nieomylnym było znakiem.

I spodziewano się zupełnie seryo każdego dnia zjawienia się Mesyasza, „syna Józefa," poprzedzającego następcę prawdziwego „syna Dawida." Gmina się starała o prolongatę w opłacie podatków: „gdy Mesyasz przyjdzie, komu tam w głowie będzie domagać się uiszczenia takiej drobnostki," mówiono.

A już najgorzej na tem wyszły szanowne obywatelki naszego grodu. Albowiem przed rokiem jeszcze zawaliły się ściany w „mikwie." Z dziesięć razy trzeba się było uciekać do środków tak bardzo radykalnych, jak przeszkadzanie przy wyjmowaniu rodałów ze „świętej skrzyni" — nim złożony został odpowiedni fundusz na nowy budulec. Już, dzięki Najwyższemu, drzewo leży, a jednak szkoda cieślę wynająć. Grzech kilka papierków niepotrzebnie wyrzucić!

Nie dziw tedy, iż pewny byłem, że wkrótce ten sam Jasiek, co to wczoraj na złość mi drogę zastąpił na ślizgawce w chwili, kiedym chciał zrobić „szewczyka," co mnie o mało kaleką nie uczyniło na życie całe; ten Wojtek, co to mnie zawsze prześladuje „świńskiem uchem," i ten sam Antek, który nas liczy zawsze: raz, dwa, trzy — przyjdą do mnie, aby poinformować się, naprzykład, jakich

przedmiotów, według prawa mojżeszowego, dotykać się nie wolno podczas dnia sobotniego?

A ja, należący do ludu, w talmudzie zwanego „litościwi, synowie litościwych,” nie będę im pamiętał różnych krzywd wyrządzonych; ja im odpowiem i zaprzyjaźnię się z nimi i wydam sekret o żelaznym i papierowym moście i zapowiem, żeby się, dła Boga, nie ważyli wejść na ten żelazny most. Najlepiej będzie, myślałem sobie, żeby się wtenczas ze wszystkiem zdaleka trzymali, to przynajmniej *dusze* swoje ocalą.

IX.

W wigilię Nowego roku skończyłem rozdział „Eizeh Neszećh” i uczułem się swobodnym, jak Żydzi po wyjściu z Egiptu.

Reb Josel, mój nowy rebe—powiedziano mi—nie szczypie i wogóle bez przyczyny nie bije. Reb Josela widywałem często w bóżnicy przy modltiwie. Był to wysoki Żyd z gęstemi brwiami, przez które oczu nie było widać. Nosił zawsze rozpięty kaftan, a z pod długiej, śpiczastej, białej brody wyglądała, religią nakazana, część odzieży, *Taliskoton* zwana. Stąpał cicho i cicho mówił, jak gdyby wszystko, co mówił, tajemnicą pozostać miało, przyczem kiwał głową wolniuteńko w górę i na dół, poruszał brwiami, ściągał skórę na czole, wystawiał wargi wąsate i wtykał ręce za pas czarny, który nierozłącznie na biodrach nosił. Zdawało się, że każde jego słowo, to jedna z najpoważniejszych rzeczy na świecie, a jego mowa—wiekopomne ma znaczenie.

Reb Josel był niegdyś „reizenderem” u jednego ze sławnych cudotwórców. Jeszcze dziś jest ajentem cadyków, sprzedającym zażegnaną oliwę, bursztyn, numizmaty, kamee i talizmany. Pierwszym jest w mieście do odczyniania uroków, a w razie niedyspozycyi rabina, on go zastępuje, wygłaszając kazania z mównicy podczas Wielkiej Soboty, lub dnia Nowego Roku, a czasami i mowę pośmiertną.

Rabin—to stary, słabowity człowiek, a reb Josel spodziewał się „po 120 latach” odziedziczyć po nim krzesło rabiniczne.

Pozatem był reb Josel słynnym trębaczem, a gdy odmawiał błogosławieństwo przed trąbieniem (tkijos), to ryba w wodzie drżała.

A ja byłem pełen dumy, że będę uczniem reb Josela. Jeszcze przed Sądnym Dniem miałem sposobność do pomówienia z reb Joselem o *duszy*.

Dusza stanowiła moją „idée fixe”. Nie wyszła mi ani na chwilę z pamięci.

Przedewszystkiem starał się reb Josel wybić mi z głowy myśl o jakimś kompromisie z „ludami świata” i wbić w ambicyę argumentem, że my należymy do wybrańców Boga.

— Nie nadaremnie—rzekł — znosimy niewolę, upokorzenia nad upokorzeniami i plagi, o których nawet srogo karcące kazanie Mojżesza, mistrza naszego, nie wspomina. Gdybyśmy takimi byli, jak inne „ludy świata”, toby nam tak dobrze było, jak im; tobyśmy tak samo używali rozkoszy *tego* świata, jak one. *Tylko* dziecko, które ojciec kocha, karci, aby się uczyło pilnie i przeszło przez wszystkie „bramy Rozsądku”.

— Lecz nawet u nas, Żydów—mówił reb Josel — nie wszystkie *dusze* są jednakowe; są grube, proste *dusze*, jak Zoracha Szczypa naprzykład; twój

nauczyciel, ten heretyk, ma *duszę* à la Korach, antagonista Mojżesza, mistrza naszego; są *dusze* wielkie, bardzo wielkie, niektóre pochodzą z „podkopu", pod „Tronem Niebieskim" istniejącego; są *dusze* wyższe, nad wszelki wyraz wzniosłe, w „rodzaju mąki pszennej".

Ja słabe miałem pojęcie o tych „rodzajach", a zwłaszcza o „podkopie pod Tronem Niebieskim"; wiedziałem tylko, że mąka pszenna to... mąka pszenna, i sformułowałem sobie teraz odmiany rozmaite dusz, jako odmiany mąki razowej, żytniej, pszennej i tej, co biorą do wypieku chały na sobotę. W duszach najwyższych znajduje się i szafran i rodzynki.

X.

— Lecz główną rzeczą—mówił reb Josel— są cierpienia.

— Ani jedna *dusza* nie przepada, wszystkie wracają do stanu pierwotnego, w którym się znalazły przed swem zejściem na świat. A wracają one wszystkie nieskazitelnie czyste, jedynie dzięki cierpieniom.

Stwórca świata, łaski pełen, litując się wspaniałomyślnie nad nami, zsyła na nas wszelakie cierpienia, abyśmy pamiętali, że jesteśmy tylko ciałem i krwią, kruchą skorupką, nicością, gdy On na nas spojrzenie rzuci, rozpadniemy się i znicestwiejemy, jak „proch ziemny"... Lecz nietylko tutaj, bo i na „tamtym" świecie trwa nieustannie dusz oczyszczanie...

I tu opowiedział mi, co to wszystko wyrabiają z biedną duszą w „siedmiu komorach czyśca”.

XI.

Podczas świąt miałem więcej wolnego czasu, a zatem i sposobności przypatrywania się pilniejszego gospodarstwu domowemu. Przed świętami „szałasów” odbyło się u nas wielkie pranie.

Tejże nocy śniło mi się, że jestem na „tamtym” świecie. Widziałem, jak aniołowie sięgają rękoma po przez niebo i łowią duszyczki, z ziemi wracające, i widziałem także, jak je gatunkują; zupełnie czyste, jak śnieg białe, ulatują im z rąk, jak gołębie, prosto do raju; brudnych zbierają kupę, jak góra wysoką, a tę górę ciskają do „morza lodowatego”, gdzie rzędem rozstawieni, czarni, jak smoła, aniołowie z zakasanemi po łokieć rękawami — piorą je, a następnie parzą w ogromnych, czarnych saganach przy ogniu, wprost z piekła wybuchającym.

A gdy się z nich brud wyciska i przez magiel je przeprowadza, płacz duszyczek rozlega się od jednego końca ziemi do drugiego.

Między brudną bielizną rozpoznałem wnet duszę nauczyciela. Miała, jak i on, długi nos, policzki mocno zapadłe, śpiczastą bródkę i także nosiła duże okulary niebieskie. Piorą ją i piorą, a ona coraz to czarniejsza.

A jeden z aniołów donośnym głosem obwieszczał wszem obecnym: „Oto dusza grzeszna, dusza nauczyciela—heretyka!”, poczem tenże anioł odezwał

się do mnie, czoło groźnie marszcząc: „jeśli zechcesz wstąpić w jego ślady, to dusza twoja będzie, jak jego, brudna i prać ją będą co wieczór, dopóki na przepadłe i wieczne zmarnowanie do piekła nie pójdzie".

— Nie wstąpię w jego ślady! — ze snu krzyczeć zacząłem.

Matka wtedy okropny mój sen przerwała, obudziwszy mnie i zdjąwszy mą rękę, w okolicach serca spoczywającą.

— Co się z tobą stało? klejnocie mój!—zawołała przerażona—całyś w potach!

— Fu, fu, fu!—wzięła dmuchać na mnie.

— Mamo, byłem na „tamtym" świecie...

Nazajutrz rankiem matka zupełnie seryo zadała mi pytanie, czy „tam" ojca nie widziałem.

— Nie—odrzekłem.

— Szkoda, wielka szkoda!—odżałować nie mogła—dałby ci z pewnością polecenie jakie do mnie.

XII.

Cóż z tego, gdy ten nauczyciel nawet sny lekceważy i kpi sobie z nich w najlepsze! Przez życzliwość dla niego, a raczej dla jego córki, Gitli, pragnąłem go uratować i powtórzyłem mu szczegółowo cały swój sen cudowny. Lecz o nieba! on odrzekł, że sen—to... mara i nie warto nawet o nim wspominać.

Udawadniał mi argumentami, z Biblii i Talmudu zaczerpniętemi, że sny to „plewy, szyszki i...

pluskwy"; ja zatykam uszy małemi palcami, ażeby zdrożności tych nie słyszeć.

Byłem oczywiście przeświadczony, że on przepadł, że opłakany wyniesie wyrok z przed sądu Bożego i że trzeba go unikać, jak zarazy morowej, ponieważ chce widocznie zagubić moją duszę, moją młodą duszę.

Nic jednak z tego! Nie wiem, ile już razy mówiłem sobie, że wszystkie te jego zrzędzenia heretyckie matce swej powtórzę, lecz to wiem, że ani razu tego nie spełniłem.

Za każdym razem, gdy mi się już usta do zdradzenia go przed matką ułożyły, doznawałem uczucia, jak gdyby Gitla, za plecami matki schowana, wyciągała ku mnie drobne swe rączęta, mrugając dużemi oczami i rozkazywała mi: „Nie, nie, nie powtarzaj! nie zdradzisz mojego ojca!"

A jej oczy większą miały moc, niż moja dewocya. Czułem, że nietylko w ogień lub wodę, lecz w samo piekło skoczyłbym dla niej. Naocznie się przekonałem, że przez nią dusza moja na zatracenie pójdzie.

I szczerze tego żałowałem. Matka i wszyscy moi mełamedowie wierzyli święcie, że zajaśnieję wielką gwiazdą na nieboskłonie Izraela i jego nauk świętych... tymczasem?...

XIII.

Pozbyłem się Zoracha Szczypa z monstrualnym jego paznogciem, lecz czy naprawdę los się mój przeto polepszył?

Szesnasty już rok sobie liczyłem. Swatowie już matce spokoju nie dawali, a ja zwyczajem dzieci żydowskich ściągałem jeszcze ze stołu ukradkiem pozostałe wieczorem po „Sądnym Dniu” niedopałki świec woskowych, aby je gnieść potem w chederze pod stołem.

Posługacz bóżniczny nienawidził mnie za to serdecznie, a swoją drogą czekały mnie też cięgi zkądindziej.

— Na którem miejscu czytamy? — zagadnął mnie niespodzianie r. Josel.

W roztargnieniu kładłem całą rękę na otwartej księdze Talmudu, wszystkie pięć palców z plasterkiem wosku.

Reb Josel zbladł z gniewu. Roztworzył szufladę, wydostał z niej cienki sznurek i spętał nim obie ręce, aż mi się serce ścisnęło.

Ale nie o to mu szło jeszcze.

Wstał, podszedł do miotły, w kącie przy drzwiach stojącej, i z zimną krwią oprawcy wybierał zwolna i wyrywał miękką, cieniutką różdżkę.

Różdżką tą okładał po związanych mych rękach przez półgodziny może z rzędu. A mnie się ten czas wiekiem wydawał.

I o dziwo! katusze one wytrzymałem ze stoicką pokorą, nie narzekając, gdyż akurat przyszło mi na myśl, że to Pan świata zsyła na mnie te męki, abym się nawrócił i — nie chodził więcej na naukę do nauczyciela heretyka.

Gdy mi już ręce dostatecznie napuchły, a skórę sińce pokryły, złożył r. Josel różdżkę i wyrzekł sentencyonalnie: „dosyć! już chyba więcej nie będziesz gniótł wosku”.

Ja jednakże gniotłem w dalszym ciągu.

Najwyższą to moją było rozkoszą wyrabiać z tego wosku wszystko, czego tylko dusza zapra-

gnęła. Z dumą odczuwałem, że chociaż *tem* rozporządzam dowoli, to jestem czyimś niepodzielnym panem.

I wymodelowałem z wosku głowę ludzką, która wnet uległa transformacyi na kota lub mysz, z którego lub której znów boków elastycznych wyprowadziłem następnie parę skrzydeł orlich i głowę na pół rozpłatałem, formując z niej dwie; jego zaś dwie głowy i dwa skrzydła posłużyły mi wreszcie za wątek do uplecenia kołacza poczwórnego.

Szczerze mówiąc, to i ja sam odgrywałem rolę takiego plasterka wosku, albowiem wszyscy mnie gnietli: reb Josel, nauczyciel, matka i każda zresztą, silniejsza odemnie osoba, ale Gitla to mnie już na szmelc topiła.

XIV.

Gnietli mnie, jak wosk, i bolało to, bo bolało.

Doskonale pamiętam, jak mnie to bolało! lecz to wszystko przecież z własnej winy, bo dlaczego tylko ja zajmowałem się wyłącznie duszą.

Koledzy mi na każdym kroku dokuczali nieznośnie. Przezwali mnie „dusznikiem”, a choć nader niedorzeczny był to przydomek, mimo to zgryzot przezeń miałem bez liku.

Zaprzątnięty myślami, siedzę z głową opuszczoną; rozmyślam o kresie swego żywota, kiedy to nareszcie uda mi się z rąk szatana się wyrwać; czynię obrachunek z własną duszą, prawię jej morały, złorzeczę .. aż tu ktoś mi nagle daje szczutka w nos: „dusznik!”

Pragnę zapomnieć na chwilę o zmartwieniach wszelkich, zagłębiam się w zagadnieniach talmudycznych, po świecie całym słynnych, odnajduję analogie między niejasnym komentarzem tego zagadnienia „Tosfos", a niezrozumiałym epizodem z Majmonidesa; załączam do nich komentatora-epigona, autora „Pnej Jehoszua", z dodatkiem jego rówieśnika, autora „Tumim"; obojętnieję na świat, mnie otaczający; nie istnieje dla mnie ani nauczyciel, ani Gitla, ani dusza...; mózg pracowicie zajęty, kiełkują już w nim zaczątki myśli, oto i szczęśliwy pomysł się rodzi, pożądany zwrot już mi na końcu języka wisi, a tu raptownie ktoś mi śwista nad uchem: „dusznik"!

Na około piorun huczy, czaszka pęka, zniknął Majmonides, i Tosfos, i Pnej-Jehoszua, i Tumim; znów smutny mi się ukazuje świat ze swym nędznym inwentarzem!

Modlę się stojący, ze stopami, ściśle do siebie przytwierdzonemi; serce moje cicho łka i oczy pełne łez:

„Lecz Ty nas, Boże! to będziemy uleczeni", błagam, szczerze i uważnie rozpamiętywając nad tem, że nie chodzi mi bynajmniej, Boże broń, o ciało znikome, jeno właśnie o duszę wieczną: ulecz, Panie świata, ulecz moją biedną, młodą duszę!

A wtem „oho, dusznik" wytyka mnie ktoś palcem zuchwale; rozpamiętywania ulatniają się w tejże chwili!

Tak to znosiłem cierpienia dniem i nocą.

XV.

Gitla cieszyła się renomą nader rozsądnej dziewczyny: ojciec nie inaczej się do niej zwracał, jak ze słowami: „rozsądnisio moja!” Sąsiadki wszystkie mówiły między sobą, że mądra, jak dzień, i że gdyby tylko była również nabożną, jak mądrą, to byłaby pociechą dla swej matki nieboszczki w raju. Moja matka wychwalała ją także często, że ta dziewczyna to chodzący rozum, dodając, że gdyby chociaż mięso rytualniej przyrządzała, toby sobie ona, matka moja, nie życzyła lepszej synowej.

I pewnego razu, nie zastawszy nauczyciela w domu, a tylko Gitlę samą jedną, powziąłem silne postanowienie zasięgnięcia od niej rady w kwestyach, tyczących się duszy.

Nogi podemną dygotały, ręce się rzucały, serce drżało, oczy w ziemi utkwiłem, jak na gorącym uczynku schwytany winowajca, i głosem ledwo dosłyszalnym ośmieliłem się wybełkotać:

— Gitlo, mówią, żeś ty rozsądna, powiedz mi z łaski swojej, co to takiego ta dusza?

Uśmiechnęła się i odrzekła:

— Na Boga, że nie wiem.

Lecz po chwili posmutniała i oczy jej zaszły łzami.

— Przypomniałam sobie—rzekła do mnie—że gdy matka nieboszczka jeszcze żyła, ojciec często powtarzał, że ona jest jego duszą... tak bardzo się kochali!

Nie pomnę już, pod jak silnem byłem wrażeniem wtenczas, ale gwałtownym ruchem chwyciłem ją za rękę i, drżąc na całem ciele, zapytałem:

— Gitlo, chciałabyś być moją duszą?

Cicho, szeptem prawie odpowiedziała, rumieniąc się:

— Tak!...

XVI.

I wielokrotnie szczęście mi sprzyjało.

Najpierw: Gitla była jedynaczką, a ja jedynakiem, oboje zaś sierotami, łatwiej przeto przyszło obojgu wymódz coś: mnie na matce, a jej na ojcu; powtóre: nauczyciel uzbierał był paręset rubli posagu, które dla matki mojej nader były pożądane do jej obrotów handlowych; po trzecie zaś, że nieoczekiwane przez nikogo, krążyć zaczęły pogłoski, najzupełniej zresztą bezpodstawne, o wrzekomo opętającej mnie herezyi, które jednak stały się przyczyną niechętnego odwracania się odemnie swatów w kilku partyach ze znacznemi rodzinami; a już najbardziej szczęśliwy byłem z tego, że wpadłem na szczęśliwą myśl użycia pośrednictwa waciarki Cipy, swatki z powołania, starej wygi, dla której znaczną kwotę przeznaczyłem w razie dojścia do skutku moich dążeń matrymonialnych.

Matka moja atoli, pomimo wszystkiego, nie mogła się przezwyciężyć i wciąż mi nad uchem szemrała, wyrzekając:

„Oj! gdyby ojciec twój teraz zmartwychpowstał i widział z kim ja jego jedynaka zaręczam, toby ze wstydu drugi raz umarł!”

Nasunęła mi się wtedy powtórnie fortunna, już stanowczo skuteczna myśl: znów zacząłem w nocy niby to ze snu krzyczeć w niebogłosy, po raz drugi byłem na „tamtym” świecie, zkąd od ojca

przyniosłem ukłony dla matki, z oświadczeniem, że wybór mój zgodny jest z jego wolą.

I wstąpił we mnie duch nowy, nową duszę posiadłem.

XVII.

Od chwili zaś uzyskania duszy nowej, starej całkowicie zapomnieć zdołałem.

A przypomniała mi się zaledwie dzisiaj, kiedy synek mój siedmioletni śmiało się do mnie zbliżył, zręcznym skokiem znalazł się na kolanach moich i zarzuciwszy mi na szyję rączęta swe drobne, rezolutnie zapytał:

— Ojczulku! a co to takiego ta dusza?

MATUZALEM

(z dziejów szkapy żydowskiej)

przez

SZULEM-ALECHEM.

I.

W Obidówce, małej mieścinie, przezwano go Matuzalemem, bo miał za sobą lat życia bez liku. Zato nie miał już ani jednego zęba w pysku, tylko jakieś dwa — trzy pieńki, któremi żuł z trudnością, o ile—miał co do żucia. Wysoki, chudy, z wytartą sierścią i posiekanym grzbietem, miał oczy zepsute: na jednem bielmo, drugie zawsze czerwone; nogi, jak tyki; boki zapadłe, wargę dolną obwisłą, ogon jakby wyskubany. Taki był jego wizerunek. Na starość służył u Srula woziwody „w charakterze konia" przy beczce.

Z natury Matuzalem był spokojny, flegmatyczny, a przytem spracowany ciężko. Nadreptawszy się dzień cały po błocie gliniastem Obidówki i zaopatrzywszy całe miasto w wodę na dobę — radował się, gdy go wieczorem wyprzągano z beczki i podściełano mu trochę słomy. Na przekąskę otrzymywał od Srulowej szaflik pomyi, które mu podawała z miną, z jaką kelner podaje talerz przyzwoitemu gościowi w restauracyi.

Matuzalem oczekiwał szaflika z upragnieniem, bo zawsze tam znajdował coś „miękkiego," kawałek chleba rozmoczonego, trochę kaszy i t. p., do czego zęby nie są potrzebne.

Srulowa zbierała cały dzień pokarm dla Ma-

tuzalema, wrzucając do szaflika, co jej wpadło w ręce: „Niech tam konisko się pożywi.”

Skończywszy kolacyę, Matuzalem zwracał się zawsze do Srulowej, jakby mówił: „Dziękuję za wszystko...” zwiesił wargę dolną jeszcze niżej, przymknął oko czerwone i pogrążył się w myślach — końskich.

II.

Nie sądźcie jednak, że Matuzalem od czasu jak jest koniem, przedstawiał zawsze obraz, powyżej opisany. Niegdyś, za lat młodych, gdy był jeszcze źrebięciem i biegał swobodnie za matką przy wozie, rokował świetne na przyszłość nadzieje.

Znawcy wróżyli, że wyraźnie na niepospolitego rumaka wygląda, a handlarze mówili:

— Ot, zobaczycie, on jeszcze kiedyś będzie woził karety, jak najlepsze, najpiękniejsze konie.

Gdy ten źrebak podrósł i stał się konikiem, włożono mu uzdę i zaprowadzono na targ koński. Tu stał wśród mnóstwa innych koni, z pięćdziesiąt razy obiegł różnych klientów, którzy mu zaglądali co chwilą w zęby, podnosili nogi i przypatrywali się kopytom.

Od tej pory zaczęła się w jego życiu długa niewola, tułaczka z miejsca na miejsce, zmiana ustawiczna właścicieli. Wlókł duże, ciężkie wozy o trzydziestu pudach, zanurzał się po brzuch w błocie, otrzymywał szereg biczów, kijów i szturchańców, bito go w bok, w głowę, w nogi, gdzie się tylko dało.

III.

Kawał czasu chodził w dyszlu przy karetce pocztowej z dzwonkiem, który mu ciągle dyndał nad uchem, wybijając: dyn-dyn-don! Jak szalony latał po jednym gościńcu wciąż tam i z powrotem. Później dostał się do chłopa, który używał go do wszelkich robót: orał, bronował, ciągnął ogromny wóz drabiniasty ze zbożem, beczkę wody, wóz gnoju, wykonywał najniższe czynności, których nie znał dotąd wcale.

Od chłopa wpadł w ręce cygana, który ukradł go w nocy i zmusił do ucieczki cwałem, trwającej długie godziny. Cygan złączył go potem z tabunem wielu innych koni, zkąd po krótkim czasie dostał się do Mazepówki. Tym razem kupił go furman, właściciel „frachtu," wozu ciężkiego, kutego w żelazo, z mnóstwem dzwoneczków i dziwnym szałasem ponad kołami. „Bałaguła" raczył go batami i kijami bez miary, jakby sierść końska składała się tylko ze skóry, bez krwi i mięsa, a boki końskie były z żelaza, nie z kości. Ciągle „no" i „wio" i trzask biczem i buch drągiem, dlatego, że wóz był za ciężki...

Jedyne szczęście, że „bałaguła" miał taki dzień w tygodniu, kiedy nie używał konia, a ten stał i żuł i nic nie robił.

Matuzalem nieraz zamyślał się; jego mózg koński nie pojmował, dlaczego tego dnia nie ruszają go z miejsca? i dlaczego nie dzieje się tak codziennie? marzył, nastroszywszy uszy i przymykając jedno oko, przypatrywał się dwom kolegom, stojącym obok niego, a uwiązanym także do „frachtu."

IV.

Od bałaguły przeszedł do młockarni, gdzie pracował ciężko, obracając po całych dniach koło maszyny. Najadł się przytem pyłu i plew, które szły mu prosto w nozdrza, pysk i oczy; zagłuszało go bezustannie „trach, tarerach.”

— Co będzie z tego kręcenia się—myślał nieraz i chciał przystanąć na chwilę. — Któż to wynalazł takie niemądre obracanie się w kółko?

Ale nie dali mu długo rozmyślać, z tyłu stał ktoś z biczem i tłukł go: hu-hi! hu-hi!...

— Dzikus jakiś!—myślał, z podełba spoglądając na tamtego z biczem.—Ciekawy byłbym zobaczyć ciebie wprzągniętego i obracającego się bez celu ot! tu pod biczem!...

Rozumie się, że po takiem kręceniu się w wiecznym kurzu wyszedł kaleką na całe życie, z bielmem na oku, z drugiem czerwonem i osłabłemi nogami. Z takiemi wadami nie był już zdatny do niczego.

Zaprowadzono go więc na targ; może się kto złapie. Parobek go wyczyścił, uczesał ładnie, podwiązał mu ogon i posmarował tłuszczem kopyta. Ale to wszystko na nic się nie zdało. Męczyli go ciągle, żeby się trzymał ostro, głowę zadzierał do góry, a on wciąż swoje! Spuszcza głowę pokornie, wykrzywia nogi, dolną wargę zwiesza i skręca na bok, a z oka łza się wymyka!... Nie, nie znajdzie już amatora! Kilka osób podeszło, ale już nie patrzyły nawet w zęby, tylko machnąwszy ręką, poszły dalej.

Jeden już go chciał kupić na skórę, ale dawał za mało, dowodząc, że zabicie i zdzieranie skóry drożej wypadnie, niż ona warta.

Matuzalem miał widocznie przeznaczoną lepszą starość. Zjawił się bowiem Srul woziwoda i zabrał go do Obidówki.

V.

Srul był człowiekiem barczystym ze spłaszczonym nosem i twarzą całą zarośniętą. Dotychczas był sam woziwodą i sam koniem. Sam się zaprzęgał do beczki i rozwoził wodę po miasteczku. Pracował ciężko życie całe, a mimo to nie zazdrościł nikomu niczego.

Kiedy jednak ujrzał kogo z koniem, przystawał i długo, długo patrzył za tamtym. Jedynem jego życzeniem było: aby mu Bóg dopomógł do pozyskania konika. Zbierał ciągle pieniądze, ale nie mógł się dozbierać kapitaliku, potrzebnego na kupno konia.

Mimo to nie opuszczał jarmarku żadnego; na każdym oglądał konie tak sobie, bez celu. I raz natrafił na to nieszczęśliwe stworzenie bez uzdy, nie uwiązane, jakby bez właściciela.

Srul się zatrzymał przy tym koniu. Serce mu mówiło, że tego będzie mógł nabyć za swe drobne oszczędności.

Tak się stało. Nie trzeba go było długo targować.

Srul zabrał szkapę i uszczęśliwiony pobiegł z nią do domu. Zastukał do drzwi mieszkania swego, a Srulowa wybiegła przerażona.

— Co to jest? Bóg z tobą!

— Kupiłem, jakem Żyd, kupiłem!

Srulostwo nie wiedzieli, gdzie podziać szkapę. Gdyby się nie wstydzili sąsiadów, wprowadziliby ją

do własnej izby. Postarali się prędko o trochę słomy i siana.

Srul i Srulowa stanęli obok konia, pieścili go i nie mogli mu się dosyć napatrzeć.

Sąsiedzi również się zbiegli, aby oglądać ten świetny nabytek z jarmarku. Śmieli się ze szkapy, kpili z niej. Dowcip sypał się za dowcipem. Mówili, że to nie koń, ale muł. Inny się odezwał:

— Jaki muł, to, zdaje się, kot!

Trzeci powiedział, że to coś niemateryalnego, trzeba tego strzedz od wiatru, bo nieco silniejszy wiatr porwie to napewno.

— Ile to może mieć lat?—zapytał jeden.

— Więcej, niż Srul ze Srulową razem.

— Matuzalemowe lata.

— Matuzalem!

I odtąd szkapa pozostała przy nazwie „Matuzalem."

VI.

U Srula woziwody Matuzalemowi było dobrze, jak nigdy; lepiej, niż za świetnych czasów młodości. Robota była raczej zabawką. Wielkie rzeczy ciągnąć beczkę i przystawać u każdego domu, także mi robota! A właściciel to skończony „dyament:" nie uderzy, nie krzyczy, bat trzyma tylko dla formy! A teraz pożywienie. Co prawda, owsa nie widzi nigdy. Ale na co mu owies, jeżeli nie ma czem go żuć? Czy to nie lepszy szaflik z miękkiemi kromkami chleba, który Srulowa podaje mu codziennie? I nie tyle szaflik, ile to podawanie go! Trzeba widzieć, jak Srulowa, postawiwszy jedzenie, zakłada ręce „na serce" i zachwyca się Matuzalemem, jak zajada „bez uroku."

Gdy noc nadchodzi, to mu się wyściela w sieni słomą i Srul lub Srulowa wychodzi co chwila sprawdzać, czy mu nie ściągnęli tej słomy. Skoro świt, Srul już stoi nad szkapą, wprzęga ją powolniutko do beczki, siada na niej i jedzie do rzeki po wodę, przyśpiewując dziwnie oryginalną melodyę psalmu:

„Szczęśliw człowiek, który nie chodzi w radzie niepobożnych, a na drodze grzesznych nie stoi i na stolicy naśmiewców nie siedzi.”

A myśli przytem: „Szczęśliw człowiek, który nie chodzi pieszo, ale siedzi na beczce.”

Napełniwszy beczkę wodą, wraca już pieszo bez melodyi psalmowej, drepcze wraz z Matuzalemem po błocie, wywija biczem:

— Nu-że, Matuzalem, ruszaj się, ruszaj się!

Matuzalem wywleka nogi z błota, kiwa łbem i spoziera jedynem okiem na właściciela i myśli przy tej sposobności:

— Odkąd jestem koniem, nie zdarzyło mi się jeszcze służyć u tak dziwnie oryginalnego stworzenia!

I szkapa po pewnem zastanowieniu usuwa się na tylne nogi i zatrzymuje przez ciekawość w błocie, jakby chciała mówić:

— A no, zobaczymy, co z tego będzie!...

Srul widząc, że szkapa przystanęła nagle, obchodzi beczkę ze wszystkich stron, ogląda koła, osie, powrozy. A Matuzalem odwraca łeb od Srula, porusza wargami, jakby się chciał roześmiać, i myśli sobie:

— Głupi ten woziwoda! Idyota, poprostu bydlę!...

VII.

Żeby na świecie było ciągle dobrze, to się nie zdarza. O ile Matuzalem czuł się szczęśliwym na starość u Srulostwa, o tyle gnębiły go, męczyły, dokuczały i prześladowały ich dzieci, dzieci ich sąsiadów i inne dzieci wogóle.

Od pierwszej chwili, gdy go przyprowadzono i maleństwo go ujrzało, dzieciaki nabrały do niego pewnego rodzaju... nie nienawiści, broń Boże, owszem, przeciwnie, pokochały go. Ale ta miłość dobijała Matuzalema. Niechajby go mniej lubiły, a trochę więcej nad nim litowały...

Naprzód dzieci Srulowe, bose chłopaki z bezpłatnej „Talmud-thory", próbowały, gdy nikt nie widział, czy ten koń czuje, jak człowiek, czy nie? Próbowały uderzyć go kijkiem zlekka po skórze — nie czuł; łechtały nim po nogach — nic; śmignęły przez ucho — ledwo — ledwo. Dopiero potem, gdy próbowały słomką dłubać w białem oku z bielmem, przekonały się wreszcie, że czuje, jak człowiek, bo zaczął mrugać oczyma i wymachiwać łbem w jedną i drugą stronę, jakby mówił: „Nie, to nie, to mi się nie podoba..." Wtedy postarały się już o rózgę z miotły i wsunęły tę rózgę głęboko w nozdrza. Matuzalem podskoczył, parsknął głośno, że aż Srul wybiegł z izby z okrzykiem:

— Szajgecy, urwisy, co wy tu się kręcicie przy koniu? Do chederu, hultaje!

I towarzystwo wzięło nogi za pas i pobiegło do chederu, czyli „Talmud-thory."

VIII.

Tam w „Talmud-thorze" był uczeń Rywel, chłopak sprytny, szkodnik, że niech Bóg broni! Własna matka mówiła o nim: „Takie dzieci trzeba siać gęsto, ale niech wschodzą rzadko." Głównem jego zajęciem było zalewać każdemu sadła za skórę. Gdzie tylko strych jaki, gdzie piwnica, tam go było pełno. Szczęśliwy był, gdy mógł gonić kury, gęsi lub kaczki, straszyć kozy, męczyć koty, bić psy, nie mówiąc już o świniach, którym dokuczał najwięcej. Szturchańce matki, rózgi „mełameda", policzki od obcych, na nic się nie zdały. Przekleństwa nań rzucane były jak groch na ścianę. Tylko co, zdaje się, spoliczkowano go, tylko co płakał rzewnemi łzami, ale było odwrócić się bokiem, aha, już Rywel wysadza język, przykłada palce do nosa, lub robi pęcherz, nadymając jagody zdrowej, rumianej twarzyczki. Chłopak nigdy nie chorował, był zawsze wesół. Nie troszczył się o to, że jego matka jest wdową samotną, zamęcza się pracą i płaci za niego całego rubla półrocznie w „Talmud-thorze."

Gdy Rywel dowiedział się od dzieci Srula, że ich ojciec sprowadził z jarmarku szkapę, która się nazywa Matuzalem, podskoczył z radości, wytarł nosek obiema rękami w jedną i drugą stronę i zawołał głośno:

— Dzieci, mamy już smyczek!

Trzeba wiedzieć, że Rywel od dzieciństwa ubił instrumenty muzyczne. Tęsknił za skrzypcami. Gdy usłyszał granie, zapominał o życiu całem. Miał przytem ładny głosik, znał na pamięć wszystkie melodye żydowskie. Liczył napewno, że z wolą Boską, gdy urośnie, kupi sobie skrzypce i grać będzie na nich dniem i nocą. Tymczasowo sporządził sam

z kawałka drewna skrzypeczki, z nićmi, zamiast strun. Otrzymywał zato porządne szturchańce od matki.

— Na muzykanta wyrośniesz? Niechaj tego nie dożyję!

Przed wieczorem, gdy Chaim „mełamed” rozpuścił uczniów, udali się wszyscy z wizytą do szkapy Srula woziwody. Rywel pierwszy wygłosił swój sąd, że szkapa jest wyborną szkapą, bo da strun z ogona, ile tylko będzie trzeba. „Na dowód zaraz spróbujemy!”

I Rywel zakradł się tyłem do Matuzalema i począł mu wyrywać włosy z ogona. Dopóki Rywel ciągnął tylko pojedyncze włosy, dopóty Matuzalem stał spokojnie, jakby mówił: „Włos z ogona? Co mi to szkodzi? Te, wielkie rzeczy, będzie mniej o włos!...” Kiedy jednak Rywel raz dostał się do ogona, zaczął skubać odrazu cały kosmyk. Matuzalema to mocno gniewało, jakby mówił: „Puszczaj świnię do izby, a wlezie ci na stół...” i niewiele myśląc kopnął Rywla tylną nogą w zęby, rozcinając mu wargę na dwie części.

Matka, ujrzawszy wargę, zawołała:

— Święcie zasłużył, piorun we mnie uderzył! Bardzo słusznie, szlag mnie spotyka! Nie łaź, ja nieszczęśliwa!

Przykładała zimną wodę do wargi, płakała, załamywała ręce i udała się po radę do Chieny, felczerki.

IX.

Rywel był, Bogu dziękować, takie dziecko, któremu wszystko się goiło prędko, „jak na psie.” Zanim co stać się mogło, warga mu się zrosła, jak-

by nigdy nic. Obmyślił też coś nowego: trzeba raz wsiąść na Matuzalema i pojechać konno i żeby przytem nie był sam, lecz wszyscy chłopcy z „Talmud-thory.” Ale kiedy i jak to zrobić, aby nikt o tem nie wiedział? Rywel wpadł na pomysł, że najlepiej będzie w sobotę po południu, bo wtedy „świat” śpi po uczcie świątecznej. Wówczas można bodaj całą Obidówkę porwać, a nikt nie spostrzeże. Jeden z uczniów zapytał wprawdzie:

— Jak to, Żyd jeździ w sobotę?

Ale Rywel na to powiedział:

— Bydlę! Co to znaczy jechać? To się nazywa bawić się...

Nadeszło południe szabasowe. „Świat” skończył obiad, ułożył się do snu. Srulostwo uczynili to samo. „Towarzystwo” powoli zakradło się do sieni woziwody. Rywel zabrał się do możliwego wystrojenia Matuzalema. Zaplótł mu przedewszystkiem grzywę, zrobił kilka warkoczyków, przyozdobił w słomki; potem włożył mu na głowę papierowy kask biały, zawiązał go szuurkmai około szyi, a w końcu zawiesił mu z tyłu starą miotłę, ażeby „ogon był ładniejszy i dłuższy.” „Towarzystwo” zaczęło wsiadać na koń, włazili na Matuzalema jeden za drugim. Kto się wpierw wdrapał, ten siedział na koniu, inni mieli później na nim siedzieć, a tymczasem szli za nim, pomagali popędzać Matuzalema i śpiewali, naśladując okrzyk Hamana podczas oprowadzania Mardocheusza na koniu:

„Tak się ma stać koniowi, którego Rywel chce uczcić.”

Matuzalem nie miał jednak chęci do szybkiej jazdy, szedł więc stępa, bo po pierwsze co jest? niema czasu? a powtóre, to przecież dzisiaj dzień odpoczynku! Rywel nie przestawał napędzać konia: „no, wio, hola”, krzyczał też całem gardłem na towarzyszów:

— A niech dyabli wezmą *ojców waszych ojców*, cóż wy milczycie?!

Matuzalem, gdy mu silnie nadokuczali, pędzili i pchali rękoma, zaczął iść prędzej. A gdy zaczął iść prędzej, miotła na ogonie zawieszona, uderzała mocno w nogi; koń zaczął biedz jeszcze prędzej, a miotła bić tem silniej; zaczął więc podskakiwać, z czego chłopcy mieli uciechę nielada. Rywel podniecony krzyczał: hop — hop — hop! Krzyczał tak długo, aż chłopcy pospadali z konia jeden za drugim. Matuzalem wszystkich zrzuciwszy, poczuł, że mu się lżej zrobiło, i zaczął biedz, jak szalony. Rozbrykany nie wstrzymał się już i cwałował za miasto he, het, po za młyny.

Pastuszkowie „szajgecy", widząc dziwnie oryginalnego konia z papierowym kaskiem, urządzili nagankę za nim. Ścigali go, ciskali weń kije, szczuli psami. Psy nie dały się prosić długo i dalej gonić za koniem, gryźć go i szarpać. Kilka psów przypadło mu do łydek, kilka rzuciło się nań z przodu, przyskakując do gardła. Matuzalem zaczął parskać, chrapać, prychać, ale niewiele mu to pomogło. Psy go zagryzły.

X.

Nazajutrz malcy chederowi mieli za swoje. Oprócz tego, że rozbili sobie wczoraj nosy i narobili guzów na czole, otrzymali moc policzków w domu, a rózeg od „mełameda." Najwięcej dostał oczywiście Rywel, ponieważ inni chłopcy, gdy ich chłostano, płakali przynajmniej. Rywel zaś przeciwnie, śmiał się. Więc go jeszcze więcej katowali. Ale im więcej go bili, tem głośniej śmiał się, a im

więcej śmiał się, tem więcej bili. Trwało to dopóty, dopóki Chaim „mełamed” także się nie roześmiał. Patrząc na niego, wszyscy uczniowie śmiać się zaczęli. Śmieli się tak głośno, że zbiegli się wszyscy sąsiedzi i inni ludzie, „Żydzi i kobiety”, chłopcy i dziewczęta z ulicy.

— Co jest? Co za uciecha? Czego się tu śmieją, dlaczego?

Nikt nie mógł dać odpowiedzi.

Wszyscy się śmieli bez ustanku. Świeżo przybyli, także się śmiać zaczęli, a wtedy pierwsi jeszcze głośniej się śmieli, a ci nowi, patrząc na tamtych, jeszcze głośniej.

Tylko dwoje ludzi się nie śmiało: Srul, woziwoda, i jego żona, Srulowa. Gdy im dziecko zmarło, to może nie płakali tyle, ile teraz po wielkiej stracie, po biednej szkapie, po Matuzalemie.

K O N I E C.